



Otwarta w dniu 20 bm. w rzeszowskim Domu Sztuki wystawa książki pod hasłem „Polska myśl polityczna i społeczna na przestrzeni dziejów” służy nie tylko popularyzacji III Dekady Książki „Człowiek — Świat — Polityka”, która przypada na ostatnie dni listopada. Jest ważnym wydarzeniem kulturalnym i powinna wzbudzić głębokie zainteresowanie nawet u ludzi niezorientowanych w celach i przebiegu wydarzeń całej kampanii upowszechniającej książkę polityczno-społeczną.

Ekspozycja prowadzi bowiem uważnego odbiorcę przez całe wieki postępowej, zaangażowanej myśli naszego narodu od początków naszego piśmiennictwa do czasów nam współczesnych. Miłośnik książki i każdy „homo politicus” z najwyższą uwagą obejrzy stare druki zawierające pełną pasję i żarliwość publicystykę Jana z Ludziska, Jana Ostroroga, Marcina Kromera reprodukcje pierwszych wydań kromerowskich Kronik, „O poprawie Rzeczypospolitej” Modrzewskiego czy pism Stanisława Orzechowskiego.

W historycznej części wystawy organizatorzy prezentują odbiorcy najcenniejsze osiągnięcia pisarskie reformatorów, burzycieli feudalnego ładu, pogromców obskurantyzmu i „ciemnogrodu” z każdego stulecia. Najwięcej cennych pierwodruków pochodzi jednak z XVIII wieku. Oglądamy II wydanie „Głosu wolnego, wolność ubezpieczającego” króla Stanisława Leszczyńskiego. I wydania dzieł politycznych Konarskiego, Małachowskiego, Kołłątaja, Franciszka Salezego, Jezierskiego, pisma Stanisława Staszica i Jakuba Jasińskiego. Myśl społeczna i polityczna Sejmu Wielkiego i radykalne idee polskich jakobinów bogato tu ukazana świadczy najlepiej, bez pomocy komentarzy o znaczeniu i roli tego nurtu polskiego piśmiennictwa dla dziejów naszego narodu i o wielkich tradycjach literatury politycznej.

Później wkraczamy w wiek XIX — w publicystykę okresu powstania listopadowego i Wiosny Ludów. Surowy sąd nad narodem i jego słabością przypominają dzieła Joachima Lelewela i Maurycyego Mochackiego — nurt rewolucyjnego demokratyzmu prezentuje Edward Dembowski i Henryk Kamieński — głęboko wzrusza małeńka pozółtka książeczka, I wydanie „Ksiąg Narodu Polskiego i Ksiąg Pielgrzymstwa Polskiego” Adama Mickiewicza z 1832 roku nakładem E. Pinauda w Paryżu.

Rozwarte roczniki „Gazety Narodowej” i „Czasu” z 1880 roku przynoszą sprawozdanie z toczącego się w Krakowie procesu Ludwika Waryńskiego. Ich lektura przenosi nas prawie dosłownie w przeszłość z jej wszystkimi realiami dnia powszedniego. I wreszcie rewolucyjna publicystyka polskich socjalistów PPS, socjaldemokratów (SDKPiL) — książki Bolesława Limanowskiego, Juliana Marchlewskiego, Róży Luksemburg itp.

Tu również znajdujemy I polskie wydanie Manifestu Ko-

munistycznego (Genewa 1883 r.) oraz pierwsze tłumaczenia innych dzieł Marksa i Engelsa.

Historyczna część wystawy świadczy zarówno o wielkim, lecz uwieńczonym pełnym powodzeniem trudzie pracowników Biblioteki Wojewódzkiej, którzy drogą wielu poszukiwań, kwerend i wypożyczeń międzybibliotecznych, dotarli do niezwykle rzadkich i cennych pierwodruków lub starych wydań książek politycznych. Są tu wydawnictwa z Biblioteki Jagiellońskiej, z księgozbioru prof. Stanisława Pigoń z dawnych zbiorów dzikowskich i ze źródeł prywatnych. Trzeba przyznać, że i u siebie rzeszowska WiMBP ma piękne zbiory (m. in. pierwszych wydań dzieł Konarskiego, Staszica czy Kołłątaja). Autorkom scenariusza tej części ekspozycji, zespołowi pracowników biblioteki należą się wyrazy uznania.

Druga część wystawy w górnej sali ma charakter współczesny i została opracowana przez „Dom Książki” i Wydawnictwo „Książka i Wiedza”. Zawiera przegląd dorobku prawie wszystkich wydawnictw w okresie 25-lecia PRL specjalizujących się w produkcji książki społeczno-politycznej. Rozpoczyna ją dział: „Dzieła Lenina oraz książki poświęcone jego życiu i twórczości” — później — „Rewolucja Październikowa i Międzynarodowy ruch robotniczy”.

W dalszych działach uszeregowano publikacje według ich zawartości tematycznej. Filozofia, socjologia, wychowanie —

(Ciąg dalszy na str. 2)

Krystyna Świerczewska

AUDIATUR ET ALTERA PARS

MY
W CWIERCWIĘCZU

Audiatur et altera pars — zwykła mawiać moja profesorka łaciny, toteż pędziłyśmy do niej z walizką półzwierzeń — półżalów, a ona niczym dobroliwa Temida, pełna mądrości starorzymskich, cytatów sytuację łagodzących rozsądzała przy pomocy Cicerona, Horacego, Wergilego nasze młodzieńcze spory. Nieco później dopiero naszło mnie ośnienie, że Rzymianie byli przede wszystkim doskonałymi prawnikami — więc i pani profesor Saturnus, dziś ogólnie szanowana dyrektorka jednego z liceów ogólnokształcących w Zagłębiu — z łacińską kulturą wchłonią musiała zapewne ową szczególną predykcję do sprawiedliwego odważania win naszych, dzięki któremu pamiętać ją będę jako uosobienie kultury, dobroci, rozumu. Zaś *audiatur et altera pars* — owo wysłuchiwanie i drugiej strony — stało się pierwszą podstawą dziennikarskiego zawodu, który najpierw polega na słuchaniu; od początku po koniec jest jednym wielkim wy-

słuchiowaniem człowieczych sporów z życiem.

Przed paroma dniami wdalam się w takie wysłuchiwanie relacji z przeżytego życia w miejscu mało znanym naszymu miastu — w Klubie Nauczycieli Emerytów, powstałym przed trzema laty spontanicznie, towarzysko, z wewnętrznej potrzeby uczestniczenia w kolektywie, z konieczności podtrzymania raz jeszcze, już na własną odpowiedzialność wspólnoty celów, jaka przed nauczycielstwem na emeryturze się dalej rysuje. Cóż z tego, że oficjalnie już zakończyli działalność nauczycielską w macierzystych szkołach, a zakończając — odebrali garść podziękowań i prywatnie porobili zapewne obrachunki swego działania; co z tego, powtarzam, skoro nauczycielami pozostali, a zawód jest z tych, które samotnie uprawiane być nie mogą? I zawód jest z tych, które niekonfrontowane z otoczeniem, nie powiązane z rzeczywistością — rodzą osamotnienie oraz uczucie nieprzydatności. Poza tym jeszcze z tych, które kończą się z człowiekiem, bo ani przez moment w człowieku go uprawiającym nie wygasa pasja naprawiania, wyrównywania niedostatków wiedzy tego otoczenia, ulepszania obyczajów, serwowania własnych umiejętności na użytek społeczny. Brzmi to wszystko może szlachetnym patosem żeromszczyzny, ale bo też zaczęło się to moje spotkanie ze starymi nauczycielami od jednej z najpiękniejszych deklaracji. Jakże pisarz włożył w usta Przełęckiego: „Bo takie są moje obyczaje”, którą pomieściła jako motto swej czterdziestoletniej działalności polonistka Maria Dąbrowiecka, gdy sięgnęła pamięcią do tych lat gniewnych, kiedy praca nauczycielska była walką

— Rozumiałam nauczycielstwo zawsze jako walkę; miałam rogatą duszę — nie znosiłam kompromisów — rogatą duszę kaleczyłam czasem o ludzką niewdzięczność, gdyby mi przyszło jednak raz jeszcze wybierać — wybrałabym znowu przeworską szkołę; gdyby, strach pomyśleć! — znowu przyszło zagrożenie jak w owych latach 39—44 robiłabym mimo tę starość dalej to samo, tak samo, z tą samą wiarą, że walką jest budzenie umysłów, inteligencji, uczenie obywatelskich cnót, walką jest — uczyć Ojczyznę.

Jest ich dziś kilkudziesięcioro, starych nauczycieli, zrzeszonych w towarzyskim klubie, na spotkaniu z dziennikarzem, którego notabene sami zaprosili, by mówić o swojej pracy. Przyznam się szczerze, że przyszedłam na to spotkanie nieco podniecona, bo znakomita to okazja dziennikarska móc znaleźć się w gronie ludzi, którzy przeżyli ćwierćwiecze szkolnictwa polski

Ludowej, sami je formowali, sami, własnoręcznie uruchamiali swoje szkoły i móc słuchać o tych początkach relacji żywych, czynionych na gorąco, bez przygotowania. I anim się spodziewała, że wywołałam swym pytaniem o te początki tyle żaru, taki natłok wspomnień, taką wreszcie ich świeżość, ba, dokładność. Bo jeżeli komuś zdarzyło się poplątać nazwiska czy daty — inni natychmiast prostowali, dopowiadali swoje własne spostrzeżenia i w tej atmosferze wzajemnej kontroli wyłaniał się powoli kształt roku szkolnego 1944/45 na Rzeszowszczyźnie tak wyrazisty, że miałam się ochotę zawołać z dumą:

— O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju!... Roku skromnych bohaterów i nadmiernego obowiązku, roku głodny, o srogiej zimie, roku w świecie zrujnowanym wojną, roku szkół zamienionych w szpitale, koszary, szkół bez sprzętu, roku rozsypanych po domach bibliotek szkolnych, roku postrzelonych ptaków z gabinetów biologicznych nawet, roku bez map, podczas gdy ustalano nam nowe granice, roku bez programu, bez podręczników — za to z wygłodzoną dzieciarnią, z zapóźnioną młodzieżą, z wychodzącym z ukrycia historykiem czy polonistą.

Mówią o nim. Chaotycznie, z żarem, a ja szybko obliczam, że był ten rok właśnie dla nich, tutaj dziś zgromadzonych, także rokiem pełnej dojrzałości, że wtedy musieli być w rozkwicie lat własnych, kiedy przychodzi ów moment definitywnego pożegnania młodości, ale od starości dzielą jeszcze ogromne obszary czasu — całe ćwierćwiecze. Toteż słucham tego mówienia i w duchu odmładzam twarz, u siwiuteńkiej pani dostrzegam urodę, wypełniam kruchość dzisiejszej postaci tamtą pełną uroków smukłością kobiety dojrzałej; chcę pod słowami o pracy dotrzeć choć trochę i choć przy pomocy domysłów do żywego człowieka, który ją wykonał!

Ale znowu powraca mi uroda słów Przełęckiego, gdy słyszę wyznanie pani Dąbrowieckiej, która w Przeworsku należała najpierw do grupy nauczycieli, prowadzącej niezorganizowane tajne nauczanie, a w chwili gdy Czesław Wycech stanął na czele tajnego nauczania, zorganizowanego już na całą Polskę — zwierzyła się matce z chęcią przejścia w te szeregi, dostając od niej odpowiedź:

— Jesteś Polką i niech ci sumienie powie, co masz robić! I odtąd takie były jej obyczaje, że biegała po prywatnych domach z książkami za pazuchą, a w czterdziestym czwartym, kiedy jeszcze ostatni Niemcy

(Ciąg dalszy na str. 2)



Fot. M. KOPEK

(Ciąg dalszy ze str. 1)

stali na rogatkach miasta wróciła na swoje dawne miejsce do powszechnej szkoły, której kierownik Kazimierz Koczocik nie spuszczał z oka w czasie okupacji, pilnował, chronił resztki mienia, wróciła, by wraz z nim i resztą zmobilizowanej od nowa kadry własnoręcznie ściągać ławki ze strychu.

Nie była zresztą jakimś szczególnym wyjątkiem; gros tych, z którymi tu dzisiaj siedzę, uczestniczyło w podobnej walce o zachowanie ciągłości szkoły polskiej, pewni, że tylko takie obyczaje przystoją polskiemu nauczycielowi.

Kierownik szkoły ze Stobiernej, ten sam, który przed wojną jeszcze namawiał chłopów do budowy szkoły, który wraz z nimi zdążył nawet zebrać ponad 300 tysięcy cegieł, po to by okupacja przekreśliła ów czyn społeczny, w 1944 zaczął od własnej krzątania wokół zniszczonego budynku. Wiedział, że tylko przykład zmusi chłopów stobierskiego do współudziału; kiedy zaś ogłosił, że w Stobiernej powstaje wreszcie siedmiolatka, że likwiduje się ów niesprawiedliwy dziwoląg — szkołę tzw. II stopnia, w której uczeń meł VI klasę przez dwa lata tylko po to, by siedem przepisowych lat być w niej, ale świadectwo z szóstej i ostatniej klasy otrzymywał na zakończenie — wiedział, że w społeczeństwie rozbudowanym przed wojną środowisku nowa idea siedmiolatki będzie najdoskonalszą terapią wstrząsową. I nie omylił się. Łatali odąd wspólnie zniszczony budynek, majstrowali ławki, a chłop przynosił w te głodne miesiące mleko, opał, kartofle i w tej nieustannej symbiozie wsi z nauczycielem zaczęli rok szkolny w porę, na termin.

Tak było na wsiach — a w samym Rzeszowie? Wśród członków klubu znajduje się emerytowana kierowniczka szkoły nr 7 — pani Zofia Kordzik, która pamięta ów rok w najdrobniejszych szczegółach, pamięta nazwiska dziewcząt, które zaczynały naukę, rodziców, przyjaciół szkoły, bardzo wielu i bardzo oddanych jej przyjaciół.

— Miałam zawsze idealny komitet rodzicielski, a już ten z 1945

roku, kiedy to radziecki żołnierz własnoręcznie wręczył mi klucze do szkoły i mogłam już zaczynać naukę, tyle że w pustych klasach — był komitetem tytanów pracy. Znosili z elektrowni, złożone tam podczas okupacji ławki, pewien rodzic — entuzjasta przez kilka nocy zrobił sam własnoręcznie 5 sztuk, inny rodzic wypożyczył furmankę i konia, by zwieźć chrust na opał, z prywatnych domów oddawano szkolne książki, nieznanymi mi rodzice przynosili rozproszone po ludziach pomoce biologiczne: nienaruszone, przesypane naftaliną, wypchane okazy, a ponieważ uczyliśmy bez książek — tata jednej z uczennic ofiarował się przepisać własnoręcznie jedyny podręcznik do biologii...

Ale to jeszcze nie wszystko, bo właśnie z inicjatywy szkoły władze partyjne i miejskie przychylnie spojrzęły na bezpłatną dokumentację rodzica — architekta, który zaprojektował budynek wypełniającą lukę między sąsiednim budynkiem i tak, oszczędnościowym systemem powstało 11 nowych sal, szkoła spotęniała i... może dlatego, że tak bogatą ma historię doczekała się zaszczytu, mieszcząca dziś w swoich murach filię Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej?

A jakież było grono nauczycielskie w pierwszym historycznym roku Polski Ludowej? A więc najpierw pani Krawiec, która przed chwilą opowiedziała mi właśnie jak dławilo wrzuszanie uczennic mówiącą w czterdziestym czwartym wierszu Syrokomli na uroczystości otwarcia skromnej szkolnej biblioteki, a o której istniała opinia, że chociaż polonistka z niej wyborna, jakie by zastępstwo wzięła w swoje złote ręce — lekcja sięgała wyżyn kunsztu pedagogicznego. I jej to właśnie była specjalność

— owe słynne „ciągi” — czyli dopasowywanie programu do potrzeb, wyrównywanie zaniedbań u dziewcząt przerosniętych, takie łączenie materiału, by zapewnić najwyższą jakość nauczania w najkrótszym czasie, by te biedulki czternastoletnie, które nie słyszały o Prusie i Sienkiewiczu, nie znały historii Polski — zapalić do dziejów ojczystych.

A owa pani Maria Kulpińska, która zaczynała pracę pedagogiczną już w 1903 roku, która żegnając się ze szkołą wyrzekła groźnie do tercjana: pilnuj, jak swego, nie daj Niemcom, bo ja tu jeszcze wrócę!

A pani Klusówna — wybitna geografka, której lekcje toczyły się jak perełki, krągłe, bystre, żywe?

Padają nazwiska. Mnogość nazwisk. Kilkudziesięciu emerytów — nauczycieli sięga w przeszłość i wyciąga sprzed ćwierćwiecza ludzi, którzy to ćwierćwiecze kształtowali; dziś na emeryturze już, bądź odeszli bezpowrotnie.

Przy jednym jeszcze zatrzymuję się chwilę — bo oto z nim łączy się historia powstania czudeckiego gimnazjum, precedensu na owe lata niepomiernego — przy jego pierwszym przewodniku — dyrektorze Worszynskim. Czudecki nauczyciel — pan Stanisław Król, który zasiada dziś w gronie klubowym, opowiada o uprawianych z pasją przez dyrektora — biologa poletkach doświadczalnych na kilku hektarach pałacowego ogrodu. Dziś zniknęła zaprzepaszczona w czasie inicjatywy, dziś jednak w Czudcu żaden chłop nie powie jak wtedy: zorać, zlikwidować gimnazjum, bo nie dla chłopów nauka; dziś można tylko wspomnieć ten pierwszy rok jego istnienia i te sznury bosej młodzieży, które z Pstrągowej, Niechobrza, Stobiernej wędrowały pod próg i pod progami dopiero wyciągały z zanadru jakieś zdezelowane chodaki, by w nich już go przekroczyć. Tworzyło się w pałacowych pokojach z najdziwniejszą kadry profesorskiej, bo tej, która przetrwała właśnie w pałacowym majątku okupację na fikcyjnych stanowiskach stajennych, karbowych, ogrodników. Było faworytem wszystkich czudeckich nauczycieli i dlatego być może pan Król więcej mu dziś czasu poświęca we wspomnieniach, aniżeli swojej czudeckiej szkole powszechnej; albo też decyduje o toku wspomnień sentyment do jego drugiego stanowiska — pierwszego przewodniczącego czudeckiej gminy.

Czas złości wspomnienia, łagodzi brutalność warunków, zostawia miejsce tylko urodzie życia minionego. Nic to, że pierwsze spotkanie ze Stanisławem Skrzyszewskim, kierownikiem Resortu Oświaty przy PKWN rzeszowscy nauczyciele spędzili w połowie na bieganinie od Ratusza do Zamku i od Zamku do Ratusza, bo, jak dziś przypuszczają komuś wrogiemu nowej szkole być może zależało na dezinformacji; pamiętają jednak z tego spotkania bez mała wszyscy tylko te słowa: latajcie i uruchamiajcie, jak umiecie i na ile sił starczy! Łatali i uruchamiali. Gdzieś tam nie chciano dać drzewa, komuś złośliwie co noc nad głową gospodyni łupała drwa, komuś przeciękły gumki i wstydził się wejść na miejską konferencję, ktoś z rzewnym uśmiechem wspomina, jak to zmienił funkcję nauczycielską na instuktorską i bezpardonowo żądał od kolegów znajomości zasad marksizmu-leninizmu, inny z dumą opowiada, że udało się kupić dla wynędzniałego grona nauczycielskiego całego wieprza za psie pieniądze i w myśl zasady, że człowiek głodny źle pracuje,

wydzielać racje. Jeszcze inny rzuca liczby nieprzystojne w swej rozpiętości o wynagrodzeniu za pracę nauczyciela a urzędniczeki w PKS. Wszystko to nic — bo mieli swoje obyczaje, gdzie pieniądź najmniej znaczył, a czas był bezpłatny na społeczny użytek. Dziś, gdy go mają aż nadto dużo, każde popołudnie darowane uczniowi, każda niedziela poświęcona na ustalanie przy pomocy intuicji i doświadczenia programu nauczania — jawi się jako wartość życia, które wtedy musiało być walką.

Uważamy dziś za niesmaczne sięganie po Siłaczki, za nieadekwatne do rzeczywistości — tu, w tym klubie, jest jednak jeszcze duch żeromszczyny, tyle że nadbudowany doświadczeniem z lat gniewu, protestu oraz pracą uczciwą, konkretną. Właściwie nie padło ani razu słowo — poświęcenie, bo wszyscy na ogół uważają, że nauczycielstwo samo w sobie zawiera poświęcenie, jakąś, ogólnie mówiąc, wyjątkowość. Powierza nam się człowiek — ktoś powiedział; czy komukolwiek innemu, kto by zajmował najbardziej eksponowane stanowisko przed lat czterdziestci — taka masa ludzi została kiedykolwiek powierzona? Ludzi młodych, obdarzonych młodą wrażliwością i pamięcią?

I właśnie pamięć zostawiłam na koniec. Bo pamięć to nie tylko 300 telegramów od uczennic

na 25-lecie pracy, ale pamięć, to także gorzkie słowa kierownika ze Stobiernej, że na otwarcie drugiej szkoły nie został poproszony; to stare małżeństwo z Krasnostawskiego, które dopiero po osiągnięciu wieku emerytalnego los rzucił w Rzeszowskie i całe życie przeżywszy w szkole — dziś z żadną kontaktem nie mają; to często drobne żale, że w Dzień Nauczyciela są sami, a tuż obok świętują swe święto szkoły, do których nie śmieją wejść bez zaproszenia. Ta pamięć — to czasem dyplom dla najstarszego klubowicza — 93-letniego nauczyciela, który dziś jeszcze po wieczorku klubowym zbiera słodycze i roznosi chorą koleżankom.

Klub Nauczycieli Emerytów zobaczyłam jako protest przeciw wiekowi i samotności; miejsce, w którym kłębi się pamięć bynajmniej nie o żalach, lecz o pracy. Nie zmieszczę całej dyskusji, nie powiem o poglądach na młodzież, o próbach dotarcia do niej na przykład przez paru kuratorów sądowych rekrutujących się z emerytowanych nauczycieli, o pomocy w nauce, jak do dziś serwują tej młodzieży. Zastanawiam się tylko czemu tak mało z nimi publicznych spotkań urządzamy, czemu te prześwieczone wspomnienia, żywe wspomnienia o ćwierćwieczu szkolnictwa Polski Ludowej nie znajdują się właśnie w nowych szkołach na lekcjach wychowania obywatelskiego, czemu z 313 emerytów w Rzeszowie, a z 2300 w województwie nie wybierzemy najwywrotniejszych do prowadzenia publicznych rozmów o pracy? Smak jednej z nich właśnie tu próbowałam zachować; gdzieś jej jednak do słowa żywego, które dysponuje żarem osobliwych intonacji, intymną nutą zwierzenia?

KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA



(Ciąg dalszy ze str. 1)

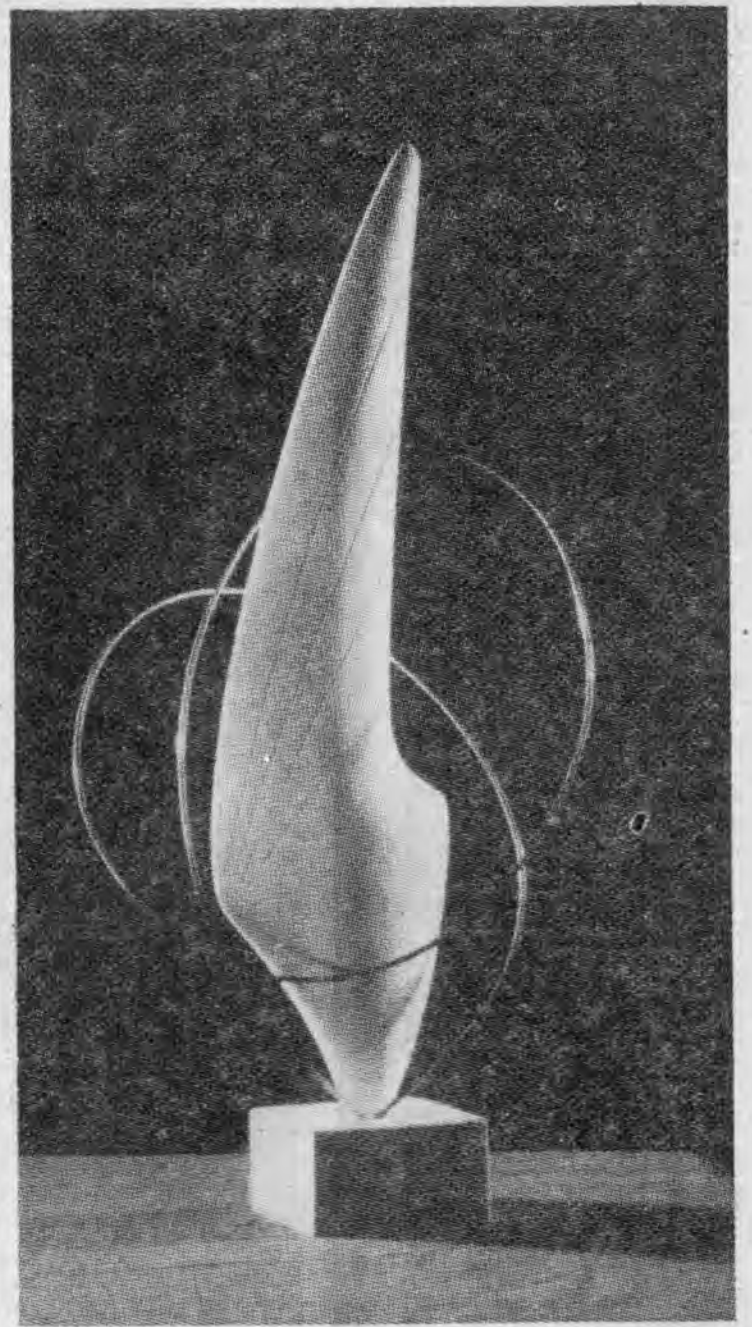
ekonomia polityczna, ekonomika, nauka o pracy — zagadnienia międzynarodowe — bardzo bogaty dział pod hasłem: „Z kart naszej historii” (w tym książki poświęcone II Rzeczypospolitej, latom wojny 1939—1945, martyrologii narodu polskiego i ruchowi oporu). I wreszcie cała seria wydawnictw o problematyce gospodarczej, społeczno-politycznej i oświatowo-kulturalnej Polski Ludowej, cykl pięknych publikacji albumowych ukazujących piękno, dorobek i perspektywy kraju oraz uroki poszczególnych regionów i miast oraz specjalne stoisko poświęcone książkom, które powstały na Rzeszowszczyźnie i mówią o sprawach tego regionu. Wydaje mi się, że to ostatnie stoisko nie odzwierciedla dynamiki i różnorodności naszego regionalnego ruchu wydawniczego, lecz jedynie skromnie sygnalizuje zjawisko. A szkoda!

Układ wydawniczej części wystawy jest logiczny, przejrzysty i pozwala odbiorcy dzięki temu szybko się zorientować w całokształcie naszego dorobku edytorskiego w dziedzinie książki społeczno-politycznej. Czy w całokształcie? Wystawa jest bardzo bogata, lecz sądzę, że gdyby nawet organizatorzy dysponowali czterema salami wystawowymi, jeszcze każdemu z widzów czegoś by brakowało. Jest to bowiem jedna z propozycji ukazania głównych

nurtów polityki, wydawniczej z zakresu „Człowiek — Świat — Polityka”. Ja odczułem tam brak chociażby jakiegoś zasygnalizowania, że bardzo wiele utworów poetyckich, powieści, esejów — słowem, utworów z literatury pięknej, również należy do tego kręgu literatury. Brak mi było nazwisk Kruczkowskiego, Nałkowskiej, Wasilewskiej, Broniewskiej, literackich pamiętników obozowych, powieści o ruchu oporu, artystycznych relacji z września 1939 r. i wielu nazwisk, i utworów naszych pisarzy. Pojmuję, że konieczność zmusiła autorów wystawy, by ograniczyli się do literatury naukowej, popularnonaukowej, publicystyki, piśmiennictwa faktu i dokumentu, ale warto było jakoś zaznaczyć, że i literatura piękna kształtuje pojęcia o współczesnym człowieku, świecie i polityce.

Wystawę pod względem plastycznym opracował zespół artystów w składzie: Helena Majewska, Irena Wojnicka, Bolesław Dusza i Roman Łyżka. Opracował bardzo interesująco, z dużym smakiem i wielkim nakładem pracy. Ściany sal wystawowych zdobia plansze z kopiami starych rycin, z pięknymi stylizacjami starych rysunków, z portretami pisarzy i cytatami z ich dzieł. To naprawdę jest dobra, kulturalna robota. Także komisarzowi wystawy dyr. „Domu Książki” Arturowi Bizancowi należą się wyrazy wdzięczności od miłośników książki za jego wysiłek organizacyjny. Wystawa jest znakomitym materiałem dydaktycznym dla nauczycieli wszystkich szkół, świetna pomocą w nauczaniu dziejów literatury i wychowania obywatelskiego. Sądzę, że w ciągu dekady pełno będzie w Domu Sztuki szkolnych wycieczek. Warto również, by oglądali ją dorośli. Wyjda na pewno stamtąd z książką w rękę, którą będą mogli zakupić w stoisku księgarskim obok wystawy.

IAN GRYGIEL



„Złote skrzydło Ikarusa” — honorowa nagroda II Jarmarku Pieśni i Tańca w Mielcu.

Irena Pitula-Rożniatowska

Mistrz na scenie teatru ZDK w Przemyślu

Premiera „Mistrza” Skowrońskiego potwierdza opinię, jaką zyskał sobie w ciągu kilkunastu lat pracy zespół teatralny przemyskiego ZDK. Jednym z największych osiągnięć stało się przedstawienie „Adwokata i róż” Szaniawskiego, wyróżnione I nagrodą na Festiwalu Teatrów ZDK. Dobry repertuar, to jeden z tytułów do chwały ambitnego zespołu — dobry w sensie ideowo-artystycznym i w sensie przystosowania do możliwości amatorów — jak praktyka wykazała — dużych.

To, co wyróżnia szczególnie pracę zespołu, to fakt, iż każde przedstawienie jest solidnie i rzetelnie przygotowane. Reżyser Janina Górska nie uznaje tzw. „puszczenia” nawet najmniejszych epizodów. To samo można stwierdzić, jeśli idzie o występy Teatru Poezji, opracowane dramaturgicznie i reżysersko przez Marię Nogową. Ten drugi, bardzo ciekawy teatr wymaga jednak osobnej relacji.

Wróćmy więc do „Mistrza”. Rzecz napisana dla teatru telewizyjnego, zrecenzowana przez J. Górską dla sceny ZDK. Sprawa talentu aktorskiego i reżyserskiego Górskiej, jej dużej praktyki, są piękne i interesujące efekty pracy z zespołem. Jako reżyserka umie podporządkować aktorów swej ogólnej koncepcji, jasnej i czytelnej, dopuszczając jednakże maksimum swobody w interpretacji ról, prowadząc ich w kierunku najlepszego rozumienia utworu i żarliwej szczerości przeżycia.

Te walory harmonijnej współpracy reżysera z zespołem występują z całą wyrazistością w „Mistrzu”.

Rolę tytułową gra Teofil Gruszczyński z typową dla tego aktora żarliwością, kontrolowaną jednak intelektualnym docieraniem do istoty charakteru postaci. Gruszczyński jest jednakże amatorem tej klasy, że nie wypadła go tylko chwalić, wolno i trzeba wypowiedzieć pewne wątpliwości czy zastrzeżenia. Otóż wydaje mi się, że wszystko, co poprzedza, zagrana na „najwyższych rejestrach”, scenę z gestapowcem — ów monolog z Makbeta — powinno być bardziej ściszone. Bardziej zyskałby na tym punkt kulminacyjny sztuki. Psychologicznie prawdziwsze by było — snucie marzeń dla siebie, partnerzy, przygodni interlokutorzy, są dla tego aktora opętanego (w najlepszym tego słowa rozumieniu) — teatrem — raczej obojętni, dostrzega ich od czasu do czasu — o teatrze zaś z uporem maniaka „Mistrz” musi „głośno myśleć”.

Janina Górska w roli nauczycielki, w której domu zbierają się uciekinierzy zagrała swą rolę bardzo szlachetnie, konsekwentnie na jednym tonie skupionej czujności, wyczułonego, kobiecego instynktu opieki nad sobą i ochraniania tych, co jej opiece zawierzali. Ściszone, dyskretne, nie angażująca się w sytuacji podniecenia nerwowości, postawą, mimiką wyraża zdeteminowaną przez jakiś nakaz moralny konieczność wypełnienia do końca swego obowiązku.

Interesująco i w sposób bardzo przemyślany ustawiła reżyserka wszystkie postacie sztuki. Kilku zgromadzonych w byłym salonie mężczyzn, to ludzie różnego wieku, różnych zawodów, charakterów i temperamentów — jednoczy ich jedynie wspól-

niem swej roli. Rola adwokata (Karol Trygalski) w samym ujęciu autora ustawiona jest nieco na pograniczu śmieszności i tragizmu. Może gdyby wyeliminować z niej starcze zręczenie i śmieszności i zbudować ją głównie na wielkim i bardzo ludzkim lęku? Mniej wyraziście zaznacza się w postaci aktora (Tadeusz Ryzner) — młodego aktora w scenie z okresu okupacji. Rekompensuje to niedociągnięcie Ryzner w roli dojrzałego aktora, w kostiumie Makbeta. W partii sztuki stanowiącej ramę kompozycyjną w scenie z reżyserem i dziennikarzem słucha się go (piękny, wspaniały głos) i ogląda z dużą satysfakcją. Ani cienia sentymentalizmu, czy łatwego wzruszenia, bardzo po męsku, tajonym wielkim wzruszeniem toczy Ryzner monolog sam ze sobą, partnerzy są w tym ujęciu mało ważni. Reżysera gra z temperamentem Aleksander Maresz. Epizod z dziennikarzem (Zbigniew Grochowski) przekonujący. Osobną uwagę poświęcić należy przeciwstawionej grupie udręczonych Polaków — postaci Gestapowca (Ryszard Szymonczak). Postać bardzo wyraziście zarysowana, wypracowana w każdym szczególe: od bardzo dobrego wejścia, wnoszącego element grozy po całe zachowanie się wobec ofiar; ową okrutną nieco niedbałą wytworność, spokojny opanowany głos. Wszystko to w dobry, nie sztampowy sposób oddaje stosunek gestapowca do wypłoszonych, umęczonych „podludzi”. Dobry epizod stworzył również jako tłumacz Alojzy Matusiewicz.

Premiera wiąże się z Festiwalu Zespołów Teatralnych ZDK. Przedstawienie uzyskało I miejsce w przeglądzie wojewódzkim i zostało zakwalifikowane do eliminacji centralnych.

Tkaniny i miniatury w rzeszowskim Domu Sztuki



W ubiegłą sobotę w klubie Związku Polskich Artystów Plastyków w rzeszowskim Domu Sztuki otwarto kameralną ekspozycję tkaniny Heleny Majewskiej i miniatur Marii Cichorzewskiej-Drabik.

Pierwsza z nich, absolwentka Wydziału Tkaniny Artystycznej krakowskiej ASP, prezentuje 6 prac, z czego cztery stanowią tkaniny malowane, a dwie wykonane techniką haftu.

Natomiast 43 pokazane miniatury to prace Marii Cichorzewskiej-Drabik (niedawno oglądaliśmy tej autorki indywidualną wystawę malarstwa i rysunku).

(am)

Jarostawsko-przemyskie „Nurty Sanu”



Na kartach rzeszowskich annałów kulturalnych 1969 r. zapewne godzi się umieścić na jednym z czołowych miejsc wieść o utworzeniu „Grupy SAN”, skupiającej przedstawicieli plastycznych środowisk twórczych, działających w starych nadszańskich grodach — Jarosławiu i Przemyślu.

Udany niewątpliwie debiut tej grupy, to ekspozycja obecnie w salach jarostawskiego Domu Sztuki I jesienna wystawa prac z zakresu malarstwa, rzeźby i grafiki.

Dokonując symbolicznego otwarcia tej ekspozycji, I sekretarz KP PZPR w Jarosławiu — Tadeusz Głowaty — przekazał w imieniu władz słowa uznania pod adresem młodych twórców, składając jednocześnie zapewnienie, że kierownictwo instancji partyjnej i władze administracyjne nadal udzielać będą pełnego poparcia dla wszystkich zaangażowanych i ambitnych poczynań środowisk twórczych obu zaprzyjaźnionych miast.

Pierwszą ekspozycję „Grupy SAN” tworzą prace jarosławian: Edwarda Kieferling-

ga, Piotra Kołodziejczyka, Stanisława Tobiasza, Katarzyny i Jerzego Matwiejów, Stanisława Lenara i Tadeusza Koziola oraz przemyskich artystów — Edwarda Korzeniowskiego, Edwarda Kmiecika, Józefa Kalnowskiego i Leonarda Konopelskiego.

Warto podkreślić, że aż sześć osób z wymienionej grupy uprawia rzeźbiarstwo. Kilkanaście zaprezentowanych prac świadczy o wysokich umiejętnościach i możliwościach twórczych jarostawsko-przemyskiego sekstetu rzeźbiarskiego.

Wystawa czynna będzie do 29 bm., codziennie w godz. 9—17. W grudniu ta ciekawa ekspozycja zaprezentowana zostanie przemyskim miłośnikom sztuki.

Jak poinformował nas dyrektor Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu — E. Kieferling, 23-osobowa jarostawsko-przemyska „Grupa SAN” zamierza w niedalekiej przyszłości wystąpić z propozycją przystąpienia do artystycznej „spółki” — do swych kolegów z Sanoką.

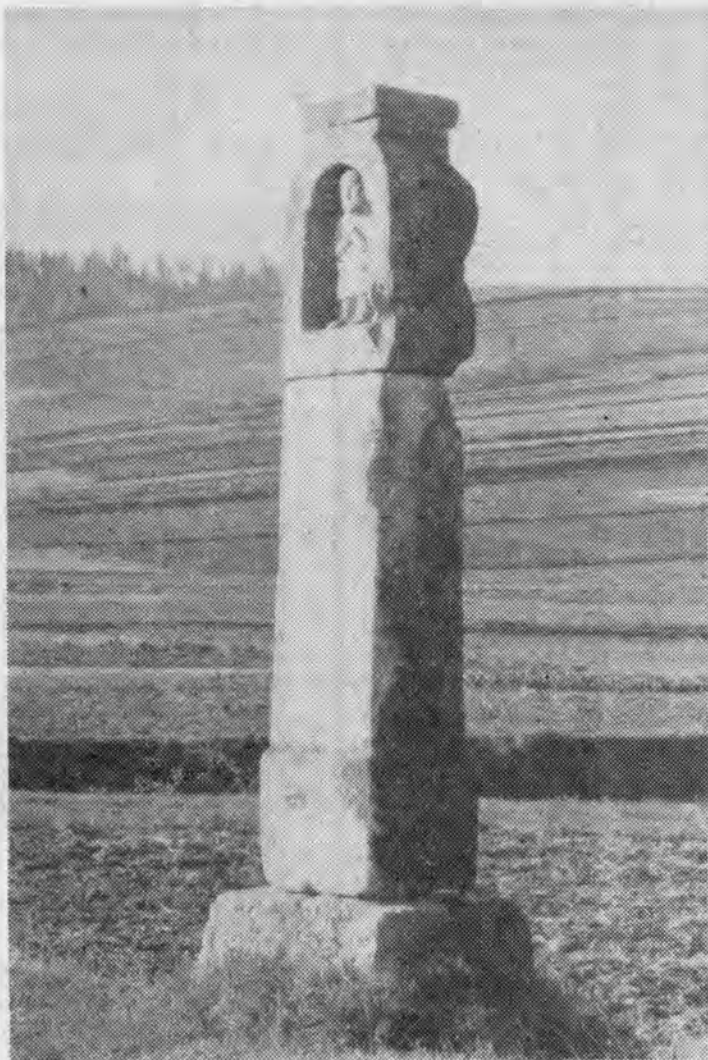
(mn)



Fot. M. KOPEĆ

Teresa Szelela-Zauchka

ZAPOMNIANE CMENTARZE



Fot. T. SZETELA

Kamieniarstwo ludowe Małopolski należy do słabiej poznanych i zbadanych. Różne są tego przyczyny — ciągle jeszcze za mało spularyzowane wśród znawców sztuki, na ogół trudno dostępne i wreszcie słabo zachowane, głównie gdy chodzi o okazy z miękkiego piaskowca.

Rozsypane po polach i bezdrożach kute w kamieniu figury uchodzą na ogół uwagi badaczy.

Wydawało się, że grupa kapliczek kamiennych w Klimkówce, na które natrafiono w czasie badań etnograficznych prowadzonych przez Muzeum w Rzeszowie w roku 1962 jest zjawiskiem wyłącznie lokalnym, ograniczonym do jednej wsi, tym bardziej że informatorzy wskazywali na miejscowe złoża kamienia, które tu kiedyś eksploatowano, oraz wymieniali tutejszych kamieniarzy.

Przy dalszej penetracji okazało się, że kamieniarstwo Klimkówki nie jest zjawiskiem odosobnionym, ale łączy się w znacznie większą grupę, której centrum można zlokalizować w Rymanowie, a ściślej w Posadzie Rymanowskiej. Tak więc wyłonił się w województwie rzeszowskim jeszcze jeden znaczny ośrodek kamieniarski, oprócz znanych już — Brusna i Bartnego. Obydwa wymienione doczekały się opracowań (R. Reinfuss, K. Wolski i S. Lew).

Nie tu miejsce na rozsądnienie, który z trzech ośrodków może się poszczycić najciekawszymi okazami i którego wyroby prezentują najlepszy poziom techniczny i artystyczny. Jedno jest pewne, że kamieniarstwo, którą umownie nazwiemy rymanowską jest od tamtych dwóch zupełnie odmienna, przedstawia szeroki wachlarz form, nie tylko charakterystycznych, opartych o technikę obróbki niewyłącznie prostą i zadziwiająco solidną zarazem.

Bryła kapliczek rymanowskich sprowadza się najczęściej do kilku bloków kamiennych zestawionych w pion i zróżnicowanych gzymsami, a nawet monolitu dużych rozmiarów. Podziwiać w nich należy znamiona dobrze opanowanego rzemieślnictwa kamieniarskiego, śmiałość konstrukcji widoczna w zestawieniu brył, bez użycia spoiwa. Jednakże wartość ich podnosi rzeźba figuralna pomieszczona we wnękach, kuta również w kamieniu, oddzielnie bądź w monolitu. Wykazuje ona wszelkie cechy ludowego prymitywu, w którym twarde, oporne w obróbce materiały w połączeniu z niedostatkami warsztatowymi dał w efekcie formę niezwykle oszczędną, zamykającą się w zarysie kilku brył geometrycznych — spłaszczonego walca, trapezoidu, czy tym podobnych. Kamieniarz wydobywał w postaciach tylko najkonieczniejsze elementy, rezygnując z wszelkich efektów. Dzięki temu zachował

równowagę między ciężkim tworzywem, któremu odpowiada surowa, zwięzła forma zewnętrzna. Kompozycja figur oparta jest na zasadzie symetrii, ograniczonym do minimum układzie linii, na zupełnym wyeliminowaniu ruchu postaci. Suma tych środków daje w pełni kompozycje monumentalną i pozwala zaliczyć te obiekty w poczet najlepszych dzieł sztuki ludowej.

Ciekawe, że rozlokowanie rymanowskich obiektów kamiennych, a co się z tym wiąże i ich przeznaczenie, jest w wielu wypadkach zupełnie inne niż we wspomnianych wyżej ośrodkach Brusna czy Bartnego. Tam użyte są one najczęściej jako nagrobki na cmentarzach lub jako krzyże przydrożne, podczas gdy w okolicach Rymanowa spotkamy je w najmniej oczekiwanych miejscach — w czystym polu, czy w lesie — niezależnie od tego, że występują także przy bocznych, nie uczęszczanych dziś drogach, które kiedyś stanowiły szlaki łączące Rymanów z głęboko położonymi wsiami.

Frapuje zatem pytanie, jaka rolę pełniły te rozrzucone na polach figury, z czym wiązała się ich fundacja, kto i na jaką intencję stawiał je w tych ustronnych miejscach. Z wyjaśnieniem przychodzi najstarsi mieszkańcy tych okolic, którzy z tradycji jedynie wiedzą, że miejsca znaczone przez te zabytkowe kamienie są cmentarzami cholerycznymi. Cmentarze dawno zostały zorane i wcielone do prywatnych parcel, w lesie zaś miejsca zbiorowego pochówku porośla ostreżyna i jedynie owym kamiennym pomnikom stawianym kiedyś dla ofiar pomoru zawdzięczać należy, że po tych miejscach mógł nie pozostać jedynie nazwa.

Pamięć o grozie zarazy w tamtych odległych latach przetrwała kilka pokoleń. Wspominają o niej niekiedy potomkowie tych, którym udało się wyjść cało z choroby.

— „Moja matka zachorowała na cholera jako 16-letnia dziewczyna — opowiada jeden z informatorów w Klimkówce — wracając od żniwa napila się wody w rzece. Od śmierci uratowały ją lekarstwa, które dostała we dworze”.

Cholera zbierała tu istotnie obfite żniwo, skoro w samej tylko okolicy Rymanowa doliczyć się można czterech czy nawet pięciu cmentarzy cholerycznych. Ludność pozostawała wobec zarazy zupełnie bezbronna. Przy szybkim rozprzestrzenianiu się choroby, głównie w upalnych miesiącach czerwca i lipca oraz braku elementarnej wiedzy medycznej wśród ludności, epidemii nie mogły opóźnić środki sanitarne, jakimi dysponowały ówczesne władze austriackie.

Zmarłych grzebano daleko od wsi, w miejscach nie uczęszczanych, chcąc przynajmniej w ten sposób zmniejszyć niebezpieczeństwo zarażenia.

Jak w przybliżeniu wyglądała wówczas profilaktyka o tym świadczy relacja ludowego kronikarza, St. Witkosia:

„Zmarłych na cholera składająca się z czterech mężczyzn i furmana, którzy, aby nie popaść w tę chorobę spożywali czosnek i raczyli się okowitą. Ekipa ta wyznaczona była przez urząd gminny. Posiadali oni dwie oski i trumnę gminną (rodzaj noszy). Gdy ktoś umarł wciągano go oskami (hakami) do trumny wywożąc na cmentarz i tam go wsypywano do grobu, a trumnę zabierano do wsi, do dalszego użytku”.

Epidemia cholery powracała w Małopolsce w XIX wieku kilkakrotnie. Najgroźniejszy przebieg miała w roku 1831. „Gazeta Lwowska” w roku 1832 podawała następujące dane statystyczne: „...od czasu wybuchnięcia cholery zachorowały w Galicji ogółem 260 043 osoby, z tych ozdrowiało 162 273, umarło 97 770” *) W Krakowie w dniach szczytu grasowania tej choroby padło ofiarą dziennie od 50 do 60 osób. Pisze o tym J. Grabowski:

„Na zamku królewskim (w pałacu królów) urządzony był szpital choleryczny, dokąd co chwila znoszono chorych, a wieczór zwykle wywożono pełne wozy nieboszczyków”.

Zdaje się, że z tego właśnie fatalnego roku 1831 pochodzi choleryczne cmentarze w okolicy Rymanowa. Ta data powtarza się bowiem w kamiennych figurach. Znajdujemy obok niej także dłuższe inskrypcje, niestety, tak starte przez korozję, że możliwe do odczytania tylko we fragmentach. Możemy się jedynie domyślić, że zawierają one między innymi nazwiska zmarłych, tu spoczywających. Figury im pokrewne stojące nie w miejscach cmentarzy, lecz przy polnych drogach mogą być albo nagrobkami na odosobnionych mogiłach, wystawionymi ku pamięci bliskich, albo też traktować je należy jako swego rodzaju wota dziekczynne, indywidualne bądź zbiorowe, stawiane za uratowanie przed zarazą. Nie są to przykłady wyjątkowe, kapliczki traktowane jako wota spotykamy bardzo często. Takie znaczenie miała prawdopodobnie figura kamienna o złożonej, niewyjaśnionej dotąd treści ikonograficznej postawiona na górze, między Łazami a Nowa Wsła.

(Ciąg dalszy na str. 6)

Zbigniew Wawrzczak

WIEŚ JAKICH

„...Za siedmioma górami, za siedmioma lasami schowała się wieś mała — tak mógłbym rozpocząć swą opowieść o wyprawie do miejscowości, o zagadkowej brzmiącej nazwie, Czerce. Jednakże ów wstęp nawiązujący ostentacyjnie do baśni, niepełnie będzie prawdziwy. Rzeczywiście, Czerce leżą wśród lasów, dookoła niewielkich przysiółków ciągną się zielone pasma, ale góry zastępują tu niewysokie, płaskie wzniesienia, urozmaicające jednostajny krajobraz tych stron. Melancholijny i smutny, zresztą czy naprawdę taki? Może to jedynie subiektywne odczucie przybyścia, który jadąc tutaj z niedalekiej Sieniawy nasłuchał się, że ta, odcięta od świata paroma kilometrami bezdroży wieś, zatrzymała się w swym rozwoju.

Jakie więc są te Czerce? Czy rzeczywiście ludzi tu niepodobna pozyskać dla społecznych przedsięwzięć? Takie pytania cisnęły mi się do głowy, gdy samochód nasz tańczył i podskakiwał na wyboistej, pełnej zdradliwych dziur drodze. W miarę jak posuwaliśmy się po nieprawdopodobnie rozjeżdżonym trakcie, jak w ciągu długich minut wydobywałem wóz z jakiejś rozpadliny, rozumiem lepiej usilne namowy kierownika szkoły, którego napotkaliśmy przypadkowo w Sieniawie.

— Do nas nikt nie przyjeżdża, żyjemy jak na innej planecie — agitował sympatyczny kierownik — niechże się pan do nas wybierze!

Wybrałem się. Zresztą główna w tym zasługa pełnego fantazji, zuchowatego kierownika jarosławskiej straży pożarnej, Stanisława Szynala, który z ochotą zgodził się na ryzykowną jazdę. Tym bardziej ryzykowną, że stosunkowo dobrze znając powiat, wiedział jakie czekają go perypetie. Teraz rozumiem, że chociaż Czerce leżą tylko o 7 kilometrów od zabytkowego miasteczka, Sieniawy, że chociaż tylko cztery kilometry dzieli ich od asfaltowej szosy jarosławskiej, owe kilometry bezdroży powodują, że mieszkańcy

tej wsi żyją jak gdyby w innym świecie, odlegli o setki kilometrów od cywilizacji i jej zdobyczy...

1. „...gdyby wybuchł pożar”...

—...gdyby tutaj wybuchł pożar — myśli głośno kierownik Szynal — mogłaby się cała wieś spalić, żaden ciężki, wielotonowy wóz strażacki nie przedrze się przez te kiłometry dziur.

— Kiedy moja żona zachorowała — mówi kierownik szkoły, gdy usadowiliśmy się wygodnie na poddaszu szkoły, w jego mieszkaniu — musiałem ją furmanką odwieźć do szosy. Karetka tu nie dojedzie.

Kierownik jest inteligentnym i energicznym człowiekiem w średnim wieku. Objął szkołę przed trzema laty, jego poprzednik pozostawił tu po sobie bardzo kiepskie wspomnienia. Murowany budynek, otoczony wieńcem starych drzew, z zewnątrz prezentuje się zupełnie okazale (wybudował go w latach dwudziestych jeden z Czartoryskich), ale przegniłe, drewniane stropy grożą zawaleniem. W jednej z klas już od dwu lat pochyły sufit podpierają wycięte w lesie belki.

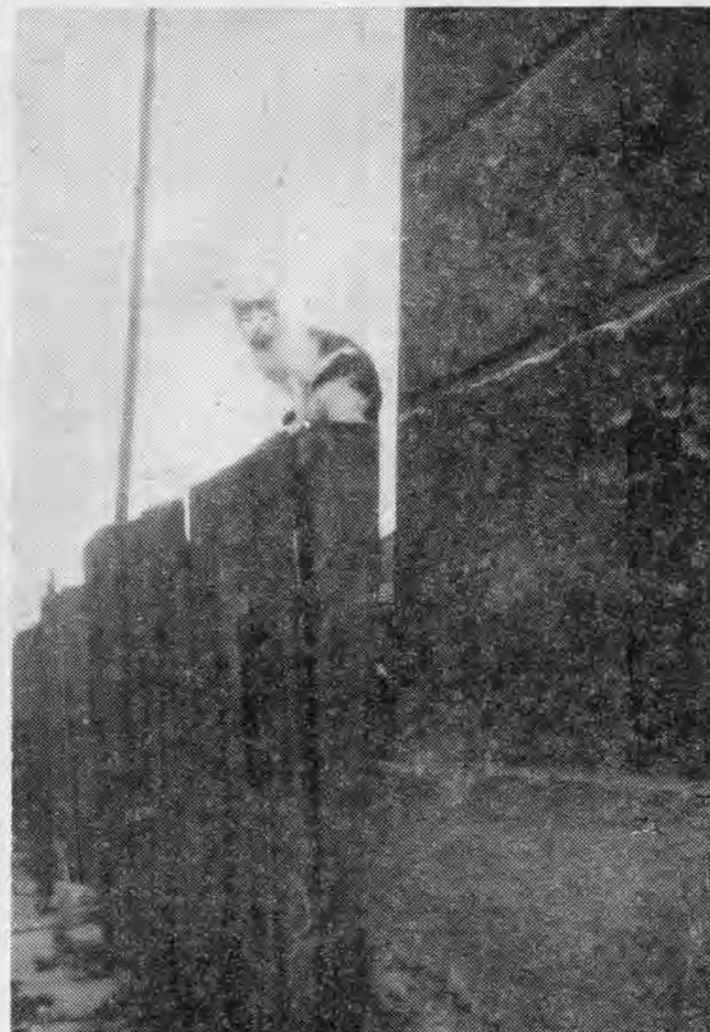
Będziemy przeprowadzać kapitalny remont — spieszy z wyjaśnieniem kierownik — chcemy go jednak połączyć z budową pawilonu szkolnego. To nam powinno rozwiązać sprawę pomieszczeń dydaktycznych, budowa ma ruszyć w przyszłym roku. A jeszcze w tym rozpoczniemy wznoszenie nie czynem społecznym domu nauczyciela.

A więc przynajmniej w dziedzinie oświaty sporo będzie się robić i to już w najbliższej przyszłości. Z dalszej rozmowy z kierownikiem, który jest również sekretarzem miejscowej organizacji partyjnej, dowiedziałem się o wielu, istotnych dla tego środowiska, sprawach.

2. Najpierw szkoła — czy dom kultury?

Od wielu lat mieszkańcy Czerce zabiegali o budowę domu kultury. Kiedy przed trzema laty pojawił się tu nowy kierownik, postawił jak się to mówi, sprawę na forum organizacji partyjnej.

— Dom ludowy czy kultury, obojętne jak go nazwiemy, jest potrzebny, to nie ulega wątpliwości



Fot. M. KOPEC

MAŁO...

— argumentował — ale zastanówmy się, czy szkoła nie jest jeszcze potrzebniejsza? Dotychczasowy, ciasny budynek nie spełnia zadań.

Przekonał. POP podjęła uchwałę o konieczności zajęcia się rozbudową i remontem szkoły w pierwszej kolejności. Władze oświatowe uznały te postulaty i postanowiły udzielić Czercom niezbędnej pomocy.

Ale nie sądzimy, że na tym kończą się sprawy do załatwienia, jakie stoją przed składającą się z 118 domów społecznością.

— Ja myślę — zastanawia się kierownik — że dla nas, mimo wszystko, najpilniejszą sprawą jest uzyskanie połączenia ze światem. Dla mnie również sprawa ta jest poza wszelką dyskusję. Powstaje jednak pytanie, w jaki sposób należy rzecz tę przeprowadzić?...

3. Kto pomoże Czercom w budowie drogi

To nieprawda, że mieszkańcy głusi są na wszelkie apele, wezwania do podjęcia czynu społecznego. To znaczy, nie wszyscy. Społeczeństwo można by z grubsza podzielić na dwie grupy: na tych, którzy patrzą trochę szerzej i na tych, których spojrzenie nie sięga poza własne opłotki. Ci pierwsi należą raczej do grupy, która wybija się również pod względem umiejętności gospodarowania. Oni to na apel społecznego komitetu budowy drogi, na którego czele stoi znany nam już kierownik szkoły mgr Zdzisław Modras, pracowali przy budowie pierwszego, blisko kilometrowego odcinka, który przecina wieś. Niestety, oprócz tych, którzy przepracowali już po 6 dniówek, czego efektem jest 800-metrowy, uściślony odcinek doskonałej drogi, jest wielu takich, którzy uchylają się od przystąpienia do wspólnej roboty, posługując się argumentami w rodzaju: mnie droga nie jest potrzebna. Jeżeli ktoś potrzebuje, to niech sobie robi!

Próbowano w rozmaity sposób wpłynąć na zmianę ich postawy. Część mieszkańców zrozumiała społeczną szkodliwość takiej postawy. Niestety, jeszcze nie wszyscy. I tu widzę ogromne pole dla działalności wiejskiego aktywu, skupionego w organizacjach PZPR i ZSL. Bez pełnej mobilizacji wszystkich mieszkańców, bez rzetelnej pracy każdego mieszkańca Czerce niepodobna myśleć o rozbiciu zapory, oddzielającej wieś od świata.

Przykład dziesiątków innych wsi, nawet w najbliższym sąsiedztwie, chociażby Rudki, dowodzi, że można przełamać bierność i zrealizować ambitne zamierzenia. Rudka — jeszcze przed paru laty zamknięta kilometrami bezdroży — wybudowała, przy pomocy zarządu dróg lokalnych, doskonałą drogę.

Pierwszy kilometr ulepszonej drogi w Czercach dowodzi, że i tę społeczność stać na planowy, zorganizowany wysiłek, że wysiłek ten może przynieść dobroczynne, dla całego społeczeństwa, efekty. Jednakże większość zadań, jakie stoją przed tą, stosunkowo niewielką wsią, każe mi zaapelować do Powiatowej Rady Narodowej w Jarosławiu o udzielenie pomocy. Czer-

ce, aby uzyskać połączenie z Sieniawą, aby mogła do nich dojechać straż pożarna, karetka pogotowia, muszą przebudować 6-kilometrowy odcinek bezdroży. Jaka pomoc potrzebna jest Czercom? Pomoc w postaci paru ciągników z przyczepami, które przetransportowałyby na drogę piasek z odległego o trzy kilometry miejsca. Można to załatwić za pomocą jednej akcji, podjętej i przeprowadzonej przez ludzi dobrej woli. Można w ten sposób dodać otuchy mieszkańcom wioski, którzy już stracili nadzieję, że sytuacja ta kiedykolwiek się zmieni.

Dlatego apeluję do energicznych gospodarzy ziemi jarosławskiej, aby zechcieli zająć się sprawą pomocy dla Czerce!

4. Splotana przeszłość...

Usiłowałem dowiedzieć się co nieco o przeszłości tej wsi. Drobny, ale za to ozdobiony staropolskim wazem Dziadek Ciurko wspominał coś o latach pańszczyzny, którą zniesiono w 1848 roku. W czysto utrzymanym, zamożnym domu Karakulów mówiono o trudnych latach powojennych. 66-letni gospodarz, niewysoki, spalony przez słońce Gajda opowiadał o latach swej młodości.

Nigdy nie przelewał się tutaj ludziom. Kiepskie gleby, kiepsko uprawione, kiepskie zbiory i także zarobki na pańskim. Jechali za chlebem do Ameryki, Francji.

U Karakulów było dopiero co wielkie weselisko. Siostra gospodarza wyszła za Polaka z Francji. Ciekaw byłem nowożeńców, ale akurat wyjechali do Jarosławia by zrobić ślubne zdjęcie. Usłyszałem więc tylko przysięwki, jakimi najbliżsi żegnali na weselisku pannę młodą, szykującą się do dalekiej podróży...

...„Masz Ty Helu szczęście i Twoje rodzice Bo Ty się wydajesz, jedziesz za granicę! Będzie Ci tam dobrze, wszystko Ci obrzydnie Jak sobie przypominasz, żeś Ty na obczyźnie!” Najwięcej nasłuchałem się jednak o latach zmagania z bandami leśnymi.

Ludzie na ogół niechętnie o tym mówią. Odnosi się wrażenie, jak gdyby nie chcieli wracać do zmyru, która trapiła ich przez lata. Wszystko to jakieś splotane, zagmatwane. Poszedł z dymem nie jeden przysiółek, zginęły w okrutnej, nierozumnej walce dziesiątki, najcenniejszej niewinnych ludzi. Oto wpadła banda UPA do przysiółka Szeźki, wymordowała Bogu ducha winnych mężczyzn. 10 Polaków. W odwet związana z „Londynem” partyzantka polska puściła z dymem cały przysiółek. To znowu banderowcy w bestialski sposób rozprawili się z jedną z mieszkańek Czerce. Zbrodniarce przywiązali ją do drzewa obok leśnego mrowiska. Któregoś wieczora przyszli po pocziwca. Paparza, był wiejskim listonoszem. Wywołał go, poszedł, przepadł. I tak można by ciągnąć rejestr gwałtów, mordów, których okrucieństwo każe poważnie zastanowić się nad źródłami nienawiści, nad zaszczerpioną przez faszyzm pogardą dla ludzkiego życia. Jedno okrucieństwo rodziło w odwecie następne i trwał taki, niekończący się łańcuch zniszczenia, śmierci. Tym straszliwszy, że rozgrywał się wśród ludzi, spokojnych z

sobą od pokoleń zbratanych, żyjących setki lat po sąsiedzku...

Dopiero kiedy wojsko i milicja pokonały, rozbiły oddziały nacjonalistów spod znaku UPA, wrócił w te strony spokój, ludzie przystąpili stopniowo do odbudowy zniszczonych siedzib...

6. ...Ruszyć z posad Czerce!

Nie dotarło jeszcze do wsi światło elektryczne. Kierownik Modras pokazywał mi pismo, z którego wynika, że Czerce otrzymały prąd dopiero w 1971 roku. Jeszcze co najmniej dwa lata. Zastanawiam się, czy nie dałoby się przyspieszyć tego terminu, czy nie należałoby podjąć elektryfikacji w czynie społecznym? Kiedy jednak obliczono koszty, okazało się, że przekraczają one ograniczone możliwości mieszkańców...

Ale brak energii elektrycznej, brak drogi, brak jakiegokolwiek światła, niski poziom wykształcenia starszego pokolenia (niewiele spośród jego przedstawicieli ma ukończoną szkołę podstawową) wszystko to nie pozostaje bez wpływu na ogólną kulturę mieszkańców. Poza wyjątkami, jest ona niska. Stosowanie nowych środków, nowych metod agrotechnicznych napotyka poważne opory. Są jeszcze tacy rolnicy, którzy nie wierzą w skuteczność nawozów sztucznych! A równocześnie na szkolenie rolnicze zimą przychodzi dwu, trzech gospodarzy. Trzeba tu coś koniecznie zmienić, trzeba przełamać zastój, bierność. Ale nikt tego nie dokona, jeżeli poważnie nie zajmą się tymi problemami wiejskie organizacje społeczno-polityczne!

W budynku, który zajmuje mleczarnia, od dwu lat stoi puste pomieszczenie. Co prawda nieduże, ale z powodzeniem mogłoby pełnić funkcję świetlicy. Dotychczasowe starania kierownika szkoły w powiecie nie dały wyników. Koło ZMW, skupiające sporą ilość członków, nie przejawia prawie żadnej działalności. Niechże robotą z młodzieżą zajmie się ktoś z 5-osobowego, nauczycielskiego grona! To jest poważna siła, której energię trzeba umiejętnie pobudzić, skierować na właściwe tory!

Zbiory są raczej niewysokie, maszyn stosuje się niewiele, gdyż są nieprzydatne na wąskich, ośmiokibowych zagonkach. Ale ziemię musi się orać w zagonki, bo inaczej wszystko wymoknie. Ziemia ilasta, nieprzepuszczalna, potrzebuje melioracji. Jednak warunkiem przystąpienia do robót jest powstanie we wsi spółki melioracyjnej. Spółki takiej nie ma, dopiero teraz, jak mówił mi kierownik szkoły, myśli się o jej założeniu...

Ogromnie dużo roboty w Czercach. Wieś stanęła w miejscu, zatrzymała się w swoim rozwoju. Nie można tego tolerować w nieskończoność, przecież nie brak i w Czercach światłych gospodarzy, którzy zdają sobie sprawę z zapóźnienia swego środowiska. Trzeba ludzi tych przyciągnąć do roboty społecznej, wykorzystać ich autorytet, doświadczenie... Czerce muszą ruszyć z miejsca, muszą dopędzić rozwijający się szybko kraj. Przy odrobinie życzliwości i pomocy ze strony władz gromadzkich, powiatowych, przy większej energii miejscowego aktywu, można ten proces przyspieszyć! I trzeba to jak najszybciej uczynić.

Postęp, wiedza, nowoczesne zdobycze cywilizacyjne dotrą do Czerce wraz z drogą! Trzeba więc od niej zacząć!...

Maksym Tank

Szyby starej kamienicy

Ostrożnie
Wycierajcie szyby
Starej kamienicy.
W całym moim mieście
Niewiele ich ocalało.

Te szyby widziały więcej
Niż drzewa i pomniki,
Te szyby widziały więcej
Niż oczy ludzi —
Oczy zawsze po salw okrzyku
Gasty.

Ostrożnie
Wycierajcie szyby,
Aby z cieniami dymu
Pożarów wojny
Nie zetrzeć cieni
Bliższych wam ludzi,
Co kiedyś
W te szyby patrzyli.



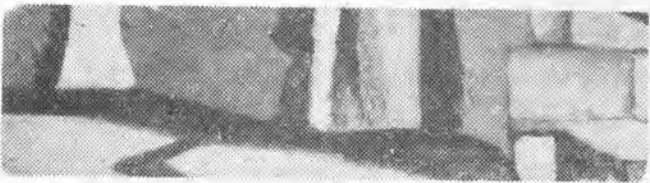
Z każdym dniem coraz soczystsze
dojrzewają pod oknami jabłka.

Teraz na gałęziach płoną
jak zięby czerwoniopiersne
i z wrześniego listowia
spijają poranne rosy.

Te jabłka jakby śpiewały,
kiedy mnie nimi częstujesz.

Znów idę z tobą przez sady
jesiennych pełne uroków
i żal mi w serce zapada,
że jesień jest tylko raz w roku.

Z białoruskiego przełożył Jerzy Pleśniarowicz



W ZSRR na nasze 25-lecie

POLSKIE SZTUKI NA SCENACH TEATRÓW

Gościnne występy Teatru Starego z Krakowa na scenie moskiewskiej zainaugurowały Festiwal Polskich Sztuk Teatralnych w ZSRR. Pierwszy taki festiwal odbył się w maju 1965 roku, uczestniczyło w nim 90 teatrów radzieckich. Tegoroczny będzie miał jeszcze szerszy zasięg, bowiem utwory naszych dramaturgów wystawi 120 teatrów. Wzbożono repertuar festiwalu, prezentując publiczności sztuki polskie dotychczas na radzieckich scenach nie grywane.

Mniej więcej do roku 1965 polską dramaturgię w ZSRR reprezentowała właściwie tylko Zapolska „Moralność pani Dulskiej” i „Panna Maliczewska” były (i są do dzisiaj) żelazną pozycją teatrów w dużych miastach i na prowincji. Grywano

także adaptacje „Dziejów grzechu” Zeromskiego. W latach następnych do repertuaru radzieckich teatrów weszły dramaty Kruczkowskiego i komedie Fredry. Z komedii zwłaszcza „Damy i huzary” Fredry i „Kocha, lubi, szanuje” Skowrońskiego cieszyły się zawsze ogromnym powodzeniem, nie schodząc z afisza przez dwa i trzy sezony.

W tegorocznym festiwalu teatry w ZSRR wystawią 42 polskie sztuki, w tym po raz pierwszy na radzieckich scenach grani będą: Szaniawski, Iwaszkiewicz, Stawiński, Bryll, Osiecka, a z klasyków Słowacki.

Gospodarze festiwalu jeszcze w fazie wstępnych przygotowań zasugerowali, że byłoby interesujące i pożyteczne, gdyby polskie utwory teatralne ukazały się na

scenach radzieckich w polskiej reżyserii i inscenizacji. Ministerstwo Kultury i Sztuki PRL przyjęło tę sugestię. I tak np. Erwin Axer reżyseruje w Leningradzie „Dwa teatry” Szaniawskiego, a Dąbrowski w Kijowie reżyserował „Zemstę” Fredry. W Moskwie, w Teatrze Jermolowej widzowie oglądać będą „Zemstę” w reżyserii Jerzego Krassowskiego, w MCHAT-cie „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego wystawiony przez Marka Okopińskiego i w Teatrze na Małej Bronnej „Zeglarza” Szaniawskiego w reżyserii Konrada Swinarskiego. Ze znanych polskich inscenizatorów zaprezentują się w ZSRR m. in.: Teresa Targowska — w Nowosybirsku i Kryszyna Zachwatowicz w Moskwie. Aż trzy teatry moskiewskie wy-

stawią sztuki Jerzego Broszkiewicza, a mianowicie: Teatr im. Stanisławskiego „Przychodzę o-powiedzieć”, Teatr im. Majakowskiego „Koniec księgi VI” i Teatr Studencki Nasz Dom „Dwie przygody Guliwera”.

W Norylsku, za kołem podbiegunowym, na deski teatru wejdzie „Pierwszy dzień wolności”, publiczność na Kamczatce obejrzy m. in. „Moralność pani Dulskiej”, w Kujbyszewie — „Marię Stuart” Słowackiego, w Swierdłowsku — „Pasażerkę” Zofii Posmysz.

Inaugurujący Festiwal, Teatr Stary z Krakowa wystawi na scenie Wachtangowa (zespół tego teatru gościliśmy niedawno w Polsce) dramat Słowackiego „Fantazy”, następnie Wyspiańskiego „Kłątwe” i „Sędziów”

oraz „Moją córeczkę” Różewicza. Zespół krakowski zagra również „Poskromienie złoźnicy” Szekspira. Po występach w Moskwie Teatr Stary uda się do Wilna.

Festiwalowi towarzyszyć mają wystawy polskiej scenografii i plakatu teatralnego. Odbędzie się sympozjum polskich i radzieckich dramaturgów poświęcone naszemu teatrowi, a w grudniu — festiwal polskich sztuk telewizyjnych.

Ta wielka impreza, ogarniająca wszystkie bez mała ośrodki teatralne ZSRR, będzie uświetnieniem rozpoczętych w Związku Radzieckim wiosną br. obchodów 25-lecia Polski Ludowej. Nasi radzieccy przyjaciele dołożyli wielu starań i serca, by obchody te wypadły okazale.

DOBROSLAW POPRZECZKO

Korespondencje ♦ Polemiki ♦ Dyskusje

„PÓJDŹ DZIECIĘ”...

Głos w dyskusji o kulturze studenckiej

Mam przed sobą artykuł Huberta Romera „Poszukiwanie kultury studenckiej” i replikę Tadeusza Wojnara „Nie samym chlebem...”. Na pozór sprzeczne stanowiska w problemie kultury środowiska studenckiego. Przyjrzyjmy się artykułowi pana Romera nieco dokładniej. Osobiście odnoszę wrażenie, że część pierwsza, poświęcona „ukulturalnieniu” środowiska, jak to określa T. Wojnar, koliduje w jakiś sposób z drugą, o „działalności kulturotwórczej studentów”. Pan Romer piętnujący (i słusznie) „senną atmosferkę”, popada niemal w ton panegiryczny, kiedy wylicza zasługi zespołów i indywidualnych twórców kultury studenckiej. Ale i to nie zadowala kolegi Wojnara (myślę, że czytelnik nie będzie miał nic przeciw formie, którą łączę z nazwiskiem towarzysza studenckiej ławy) — dodaje nową porcję osiągnięć studentów.

Nie zamierzam polemizować na temat, czy twórczość Celiny Karcz-Zabierowskiej i Mariusza Kulpki posiada jakikolwiek wpływ na rozwój kulturalny przeciętnego studenta. Nie będę również kruszył kopii o zasługi Teresy Roman i Anny Rychlik dla rozwoju umysłowości studentów wydziałów ścisłych. Chylę czoła przed „Meluzyną” i kabaretem „Et cetera”. Z przyjemnością wspominam występy Ani Zebrowskiej. Ani mi się śni przyłączać do chóru ubolewającego nad brakiem zaangażowania studentów w życie kulturalne Rzeszowa. Intryguje mnie jednakże inna sprawa: „Odmieńcy”, „Dysonansi”, „Rybałci” itd., itd. Gwiazdy wciąż wschodzące, dobrze się zapowiadające, odnoszące sukcesy i... znikające. Rzecz nie ogranicza się bynajmniej do zespołów BARDZO mocnego udeżenia. Dlaczego tak nagle zakończył swoją karierę naprawdę dobry teatrzyk „Et cetera”? Paradoxy: aktorzy skończyli studia i... nie miał ich kto zastąpić. Pamiętam również krótką historię „Studenckiej Giełdy”, o której wspomina kolega Wojnar. Czyżby zabrakło pomysłów, talentu? Nie, po prostu studenci nie chcieli pisać, a redaktorzy Domagała i Zatorski nie osiągnęli jeszcze doskonałości maszyn elektronicznych, aby osobiście zapelnili kilka szpalt. A więc tradycyjni, polski „słomiany ogień”? Chyba tak. Właśnie w tym dostrzegam jedną z przyczyn marazmu kultury studenckiej.

Nie sądzicie, że w tym momencie zaczęły rozdzierać szaty. Z tym samym problemem boryka się cały szereg środowisk studen-

skich o znacznie starszych tradycjach. Nikt nie rodzi się krzewicielem kultury. Zazwyczaj uczymy się na błędach. Pewne symptomy wskazują, że na WSP zaczyna się coś dziać. Pisał o tym pan Romer, więc nie widzę potrzeby powtarzania. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na specyfikę rzeszowskiego środowiska akademickiego, której na imię: WSP+WSL. Dla niewtajemniczonych wyjaśniam: 80 proc. przyszłych nauczycielek nazbyt często nie zainteresowanych sprawami kultury i niemal 100 proc. potencjalnych inżynierów pogrążonych bez reszty w maszynoznawstwo, wytrzymałości materiałów, geometrii wykresowej itd., itd. I tutaj dochodzimy do zagadnienia, które uważam za najważniejszą przyczynę „oziębłości” kulturalnej środowiska rzeszowskiego. Problem ten, to brak zainteresowania sprawami kultury ze strony znacznej części studentów.

Pan Romer pisze w swoim artykule: „Wielu rozpoczynających studia nie odczuwa potrzeby pójścia do teatru, na koncert symfoniczny czy poznania arcydzieła filmowego”. Panie Hubercie, pan jest optymistą. Znam wielu kończących studia, którzy nie zaszczycili swoją obecnością sali teatru rzeszowskiego, nie mówiąc już o filharmonii, operze i operetce. Nie orientuję się w zakresie kultury duchowej studentów kierunków ścisłych, sądy opieram na obserwacji własnego podwórka — filologii polskiej. Polonistka, której strawę duchową w ciągu pięciu lat spędzonych na uczelni stanowią westerny w rodzaju „Winnetou i Apanaczi”, rozdzierające wycie Niemena i niedzielne prelekcje z ambony — wyjeżdża w teren „siac kulturę”. Dodajmy do tego brak zainteresowań, absolutną negację wszystkiego, co nie jest bezpośrednio związane z najbliższym egzaminem, a otrzymamy wizerunek niejednego studenta rzeszowskiego. Zdziwione oczy studento-uczennicy i zapytaniek „Po co ci to?” — to typowa reakcja na widok książki nie wchodzącej w skład zestawu obowiązujących lektur. Może się ktoś oburzyć, zarzucić złośliwą jednostronność oceny faktów. Niestety, to prawda, choć przynajmniej — wstydliva.

Co jest przyczyną tego kompromitującego stanu umysłowego wielu studentów? Kolega Wojnar twierdzi, że wina leży w systemie nauczania szkół podstawowych i średnich. Nie przeczę, że wychowanie plastyczne i muzyczne jest wciąż piętą Achillesową naszego szkolnictwa. Poziom ludzi, którym powierza się estetyczne wychowanie młodzieży nazbyt czę-

sto pozostawia sporo do życzenia. Wielu spośród nich jednakże to ci, którzy skończyli lub skończą w najbliższym czasie uczelnię. Co przekażą uczniom; które spośród własnych przeżyć? Czy te z zadymionej sali, rozsadzanej hałasem elektrycznych gitar? Co będzie, jeśli trafi się uczeń inteligentniejszy od „pana profesora” i zapyta o Mozarta? Wówczas tylko stanowcze „Siada! Mówisz nie na temat”, uratuje autorytet niedouczzonego pedagoga. Pozwolę sobie zacytować w tym miejscu fragment trzeciej tezy Marksa o filozofii Feuerbacha: „Warunki są zmieniane właśnie przez ludzi i sam wychowawca musi zostać wychowany”; Komentarz chyba zbędny...

Przeraża mnie u studenterii rzeszowskiej złośliwy upór, z jakim niektóre jednostki bronią się przed „ukulturalnieniem”. Można zrozumieć nieprzygotowanie byłego parafianina do odbierania sztuki, ale czym tłumaczyć jego zarozumiałe przekonanie o swojej istotnej przewadze nad kolegą, który „traci” godziny na próby teatrzyku dramatycznego. Dlaczego tak się dzieje, że indolencja umysłowa uchodzi za cnotę?

Niemal od początku istnienia wyższych uczelni w Rzeszowie ukute zostało powiedzenie: „studento-uczeń”. Ten złośliwy, choć nie pozbawiony słuszności termin stracił dziś na znaczeniu i wegetuje raczej w odniesieniu do niższych lat. Ale pewne skłonności scholarskie pozostały... W programie nauczania filologii polskiej istnieje skromny przedmiot — wybrane zagadnienia z historii kultury i sztuki. Jeszcze jedno „zło konieczne”, na które skazany jest student. Uczęszcza biedaczek, bo sprawdzają listę i uczy się w strachu przed kolekwium. A gdyby tak wykazać żywsze zainteresowanie, dla własnej przyjemności? Ba, gdyby nie problem „na co to”?

Najbardziej interesujący wykład (choć różnie bywają) nie zastąpi samodzielnej pracy studenta nad poszerzeniem swoich wiadomości o sztuce. Bądź co bądź są to ludzie dorośli, przyszłi inteligenci, którym pojęcie wykształcenia ogólnego nie powinno być obce. Nie powinno, ale... Władze uczelni (WSP) wprowadziły na drugim roku obowiązek uczestniczenia w pracy tzw. zespołów fakultatywnych. Biedny student! Tak dużo ma zajęć, a pan dziekan zaprasza: „Pójdź dziecię, ja cię kultury uczęć każę”. Więc wywijają się biedaczek jak może, dokonuje cudów zręczności, aby uzyskać zaliczenie i nie cierpieć „kulturalnych katuszy”.

Zgodnie z dobrymi zasadami pisania artykułów polemicznych zaprezentowawszy „zło” winniem podać konkretne propozycje naprawy. Powiniennem, ale nie mam ochoty, bo po pierwsze — nie cierpię łopatologii, a po drugie... Po drugie radzę kolegom pomyśleć, popatrzeć na siebie i wysnuć wnioski. Gdyby było to trudne, skorzystajcie z doświadczeń tych, którzy nie bacząc na rzeszowskie kompleksy wzięli kulturę „za rogi”. Wybierzcie się w wolnej chwili zamiast na „Milion lat przed naszą erą” do teatru, na występ zespołu kameralnego WSP lub po prostu posłuchajcie w radiu koncertu z kurantem. Może dopatrzycie się wyższych wartości...

EDWARD TEODORCZYK



Fot. J. MENDYCHOWSKI

TV — wielka przygoda

Blisko 600 programów telewizyjnych ma na swym „sumieniu” reżyser TV Warszawa — Anna Minkiewicz.

- Od jak dawna pracuje Pani w TV?
- Już ponad 15 lat. Zaczynałam jako operator.
- Czy to Pani „robiła” słynny mecz lekkoatletyczny Polska — Stany Zjednoczone?
- Tak, to ja stałam wtedy przy kamerze na Stadionie X-lecia i lepiej nie przypominać, jak się denerwowałam.
- Czy praca operatora TV jest ciężka?
- Ciężka? To w ogóle nie jest praca dla kobiet, ale tym bardziej wydawała mi się godna uwagi. Zresztą przez te pierwsze 4 lata to nie była tylko praca. To była wielka przygoda.
- Reżyserowała Pani setki programów, ale głównie chyba teatru TV. Które z widowisk najlepiej Pani lubi?
- „Jezioro Bodeńskie”, „Troja, miasto otwarte”, „Czarna suknie”, „Pasażerka”, „Mieć i nie mieć”. Oczywiście bardzo lubię także te spektakle, za które dostałam nagrody („Jezioro Bodeńskie” i „6 lipca” — podkr. EZ).
- Jak układa się Pani współpraca z reżyserami teatralnymi i filmowymi?
- Bardzo dobrze. Pracowałam z wieloma, trudno mi wszystkich wymienić. Poprzedzając wobec tego na paru nazwiskach: Andrzeja Munka, Stanisława Wohla, Jerzego Dobrowolskiego, Ludwika Rene, Wandy Laskowskiej, Henryka Szletyńskiego, Andrzeja Szfranskię, Andrzeja Łapickiego, Agnieszki Osieckiej — tak, to prawda, robiliśmy razem program, chociaż Osiecka znana jest raczej jako autorka piosenek.
- Czy to prawda, że aktorzy traktują TV jako chałturę i bardzo często słabo przygotowują rolę?
- Nie, to nieprawda. Aktorzy nigdy nie lekceważą swoich ról. Jeżeli myślą, że „spiją” — są to, niestety, skutki naszych, ciągle fatalnych możliwości technicznych. Współpraca z aktorami, szczególnie dobrymi, jest przyjemnością. Nie ma drobnych obrażeń się w stylu: „a ja tej sukni nie włożę”, lub „jak to, ja mówię, a ty pokazujesz pana X”. Zdarzają się, niestety, takie problemy, ale w końcu ta chęć pokazania się z jak najlepszej strony jest ściśle związana z zawodem aktora, tak że trudno się dziwić. Mamy w Polsce naprawdę znakomitych aktorów, tak że mają prawo do tych paru „zawodowych” wad.
- Prawie wszystkie widowiska TV w Pani reżyserii były udane. Jakie Pani stosuje metody i jakie ma Pani czary na te sceny, telewizyjne awarie, o których ciągle słyszymy?
- Ależ, to wszystko zdarza się i mnie również! Moim zdaniem — mówi Anna Minkiewicz — to nie tylko ja przygotowuję widowisko. Jest ono pracą zbiorową. Dowodził nim wielki sztab ludzi, od reżyserów, aktorów po ogromny zespół techniczny, od dyżurnego inżyniera poczynając, poprzez reżysera dźwięku, światła, operatorów, aż do asystentów kamer, a charakterystycją, kostiumy i sutler...
- Co teatr i film dały telewizji?
- Chciała pani raczej zapytać, kogo telewizja dała teatrowi i filmowi: Adama Hanuszkiewicza i Jerzego Antczaka.
- A teatr nam? Przejeżdżamy po nim trochę zabobonów, np. zwyczaj, że kiedy upadnie tekst, trzeba go przydeptać. Nie wolno także gwizdać na scenie. Te oba zwyczaje obowiązują już i w telewizji.
- Na czym polega tzw. specyfika TV?
- Myślę, że naprawdę to nie takiego nie istnieje, ale skoro uznała pani już tego słowa, to może chodzi o to, że telewizję jest trudniej — mówiąc żargonem — „robić” niż cokolwiek innego. Dodałabym także, że również trudno jest pisać o telewizji. Niestety, nie zawsze mamy szczęście do recenzentów.

(K1 — PAP)

Rozmawiała: ELŻBIETA ZIRKOWITZ

Zapomniane cmentarze

(Ciąg dalszy ze str. 4)

Wszystkie te pomniki kamienne przetrwały z górą półtora wieku. Jedne z nich, dobrze osadzone w gruncie, mogą liczyć na dalsze przetrwanie, inne pod wpływem zmian w samym podłożu gębowym zwały się albo grożą ruinie. Kilku nie ominęły kule wojenne, stąd noszą na sobie trwałe uszkodzenia. Są też i takie, których niszczeniu pomagają sami ludzie. I te są najbardziej zagrożone. Właściciel czy użytkownik pola przewraca zabytkowe kamienie, jako niewygodne, by później, zwalone pozostawiając na miejscu mimo wszystko; nie jest bowiem rzeczą prostą zwieźć z pola w jakiś wóz blok kamienia, którego kubatura, podajemy dla przykładu wynosi 185x92x55 cm. Leży później taki głaz wnąką

do góry, gdzie zbiera się woda, zimna zamraża w lód i do reszty niszczy kuta w monolite grupę figuralną, której nie można wyjąć, zabezpieczyć.

Dobrze, jeśli niektóre z tych zwalonych obiektów trafią do muzeów. Ale i tam nie zawsze znajduje się dla nich najodpowiedniejsze miejsce. Nie każde z muzeów, choć by ze względu na warunki techniczne może je później wykorzystywać w ekspozycji.

Najlepsze dla tych kamieni jest ich pierwotne miejsce, naturalne otoczenie. Czy nie znajdują się miejscowi opiekunowie zabytków, którzy czuwać będą nad ich zabezpieczeniem?

*) J. Szewczuk, Kronika klęsk elementarnych w Galicji w latach 1773—1848, Lwów 1931, s. 248.

Aleksander Żyga

W zwierciadle Rejowego spojrzenia

Przypadająca w roku bieżącym czterechsetna rocznica śmierci Mikołaja Reja daje sposobność do odmiennego, z dzisiejszej rzeczywistości wypływającego spojrzenia na twórczość tego „ojca literatury polskiej”, który w dyplomie królewskim nazwany został „vates Polonus alias rymarz”, co znaczy „wieszcz, czyli poeta polski, inaczej „rymotwórca”. W ukazujących się w związku z tą rocznicą artykułach, próbuje się z dzisiejszego punktu widzenia ocenić piśmiennictwo autora „Żywota człowieka poczciwego” w dziejach literatury polskiej, akcentując głównie społeczno-obyczajową jego zawartość, w nim bowiem jak w zwierciadle odbija się powszednie życie przeciętnego szlachcica polskiego XVI w.

Nie o autorze jednak „Żywota człowieka poczciwego” oraz „Figlików”, które zwykło się łączyć z nazwiskiem Reja, chcę tutaj przypomnieć, ale w jak największym skrócie ukazać, o ile ów „ojciec literatury polskiej” i „rymarz”, i o jakich ludziach żyjących za jego czasów na ziemiach dzisiejszych powiatów Rzeszowszczyzny w swych dziełach napomknął, w których z nich czytano jego, z ducha reformacji wyrosłe, pisma oraz gdzie szerzył się kult jego osoby.

Ażebym na pierwsze z tych pytań odpowiedzieć, sięgnąć się musi do nieznanego na ogół, przeciętnemu czytelnikowi inteligentkiemu, a wydanego w roku 1562 „Zwierciadła”. Musiała to być książka wówczas wśród szlachty popularna, zaczytywana niemal doszczętnie, skoro z wielu egzemplarzy wymienionych przez K. Estreichera w jego „Bibliografii” wydań, tylko unikatki do naszych czasów zdołały się zachować. O popularności „Zwierciadła” pośród ówczesnej szlachty świadczą liczne wypiski z niego, spotykane w tak zwanych „Silva rerum” szlacheckich. To drugie pod względem obojętności po „Wizerunku” dzieło Mikołaja Reja składa się m. in. z licznych wierszowanych portretów, znanych w kraju osobistość, zawiera wiele myśli i poglądów na różne problemy współczesnego życia społeczno-politycznego ówczesnej Polski. Pośród setek wierszowanych charakterystyk i epigramatów wchodzących w skład ostatniej części „Zwierciadła”, napisanych o członkach rodziny królewskiej począwszy, na dygnitarzach kościelnych, magnatach oraz popularnych i głośnych w kraju rodach szlacheckich skończywszy — znajdujemy kilkanaście, w których Rej nie omieszczał dać wierszowane konterfekty współczesnych reprezentantów rodzin szlacheckich województwa ruskiego, sandomierskiego i krakowskiego, których obrzędne ziemie wchodziły dziś w skład obecnego województwa rzeszowskiego. Skreślone we wspomnianych epigramach konterfekty małopolskich magnatów i szlachty, którzy odgrywali wówczas niemałą rolę, wypadły pod piórem Reja różnie: zależnie do osobistego stosunku pisarza do nich. Z początku zawartych w Rejowskim „Zwierciadle” epigramatów i konterfektów prezentujemy te, których postacie pochodziły lub związane były z ziemią sanocką, przemyską, względnie Podgórzem. Pośród konterfektów na „stany i domy niektórych znacznego narodu polskiego” znajdujemy np. jeden, dający charakterystykę Kmita sobieńskiego spod Sanoka, utrzymującego przez jakiś czas u siebie prześladowanego Stanisława Orzechowskiego, oraz wojewody krakowskiego:

*Kmita to był, kto ję znał, dziwny w swych postawach,
A jako żubr porożnym potrząsał w swych sprawach;
Ale kto z nim chciał zgodą, unet był zając z niego,
A bodaj taka cnota ruszyła każdego.
Upornemu upornie przystoi się stawić
Ale to wilczy zwyczaj pokornego dławić.
Aby i dziś tych Kmitów co najwięcej było,
Iście by się cnotliwym z nimi nie sprzykrzyło.*

Wiele pochwał zyskał pod piórem Reja, dzięki swym dzielnym bojom z Tatarami i Turkami Mikołaj z Sieniawy, wojewoda ruski:

*Patrz, kto na tę postawę, patrzaj na urodę,
Patrz na stan, patrz na sprawę, na kształtowną brodę,
By miał być snadź Attila, co im jeszcze straszę,
Albo on Barbarossa, co zwał morze czaszę.
Wspomniesz na jego sprawy, które się toczyły,
Jako w ludzkiej pamięci zawždy stawne były,
Gromić Turki, Tatory i inne narody,
Ze się zawždy lękali tej poczciwej brody.*

Pomijając pomieszczone w tej grupie konterfekty nie wymienione go po nazwisku kasztelana bieckiego oraz Zbigniewa Sienińskiego, kasztelana sanockiego, oraz wielu innych, wśród panegiryków poświęconych „stanowi duchownemu” wymienić trzeba jeden „Herbert, biskup przemyski i z domem swym”, w którym chyba ze względu na pokrewieństwo pisarza z tą rodziną i podobne przekonania reformacyjne, mimo że jeden z Herbertów piastował przeciw biskupstwu przemyskiemu i zwalczał zwolenników reformacji, obyło się bez właściwego owemu gatunkowi „konterfektów” elementów satyry:

*Zacni to zawždy ludzie byli Herbertowie,
I rzadko pustki znalazł między nimi w głowie,
Pilnie ją osadzali cnotą a bacznością,
A w Rzeczypospolitej prawą uprzejmością.
Per nefas się w tytuły nigdy nie cisnęli,
Acz je ze swą godnością zawždy przedsię mieli;
Woleli, by je zwano tytułem domowy,
Onym z dawna cnotliwym, a niżli złym nowym.*

W konterfektach na „panięta i ślachtę krakowską” nie uszedł uwagi Reja wstawiony przez „diabła łańcuckiego”, Stanisława Stadnickiego ród Stadnickich:

*Tych przodkowie w swych cnotach by anieli byli,
Ale i potomkowie iście nie zelżyli;
Lecz tam patrz między nimi gdzie co namniejszego,
Najdziesz wnet większy rozum niż pana samego.
Ale co nam po wroście, kiedy umysł żywy,
A pospolicie lichy, byna wstrokoczny.
Silnać też wół bestyja, a nie wielki wilczek,
A wždy, kędy rozkaże, musi skakać byczek.*

Zakończenie konkursu muzycznego im. Schumanna

W czwartek zakończył się w Zwickau, w NRD Piąty Międzynarodowy Konkurs Muzyczny im. Roberta Schumanna. W 10-dniowym konkursie wzięło udział 76 kandydatów, śpiewaków i pianistów, z 23 krajów. Odbyły się 23 koncerty, na których wykonano dzieła Schumanna i współczesnych mu kompozytorów.

Wśród „Sądomorzan” znajdują się konterfekty; Mikołaja z Mielca, wojewody podolskiego, Ossolińskich z Ossolina, a między „paniętami ślacheckimi, lubelskiej i podolskiej ziemie” synów wojewody ruskiego Sieniawskiego”.

Osobno wyłączone zostały przez Reja „przemyskanie”, obejmujące poczet rodów mieszkających nie tylko na terenach dawnej ziemi przemyskiej, ale i sanockiej. Zawarta w ich charakterystykach apoteoza uwarunkowana była i wynikała z ich przynależności do obozu reformacji. W Dubiecku przecież i w ziemi sanockiej wielką popularnością wśród szlachty cieszyła się Rejowska „Postylla”, będąca rodzajem „ewangelii” reformacyjnej. Obok „Orzechowskich”, z których wyszedł słynny publicysta renesansowy Stanisław Orzechowski, o którym Rej pisał:

*Zaprawdę to Okrzyków czyste gniazdo zawždy
A musi mi to zeznać bez pochlebstwa każdy,
Bo dworstwo, rozum, cnota tam gospodę mają,
Urzędy to wyświadczą, iż to ludzie znają;
Bo ktoć dziurę dostawa urzędu jakiego,
Mniej możemy rozumić o godności jego:
Ale na który ludzie spólnie obierają,
Tam rozum i cnotę już podobno znają.*

— nie brakło peanów na cześć mieszkańców sanockiej ziemi: Nowowiejskich „Dereśniaków a Fredrów”, Pileckich oraz mieszkających wysoko w Bieszczadach Balów, których Rej następująco charakteryzuje:

*Bala za starych wieków za boga chwalił,
Wždyć byli jaką godność przy nim obaczyli;
Lecz ci naszy Balowie, chociaż nie bogowie,
Są pewnie godni sławy na każdej rozmowie;
Bo patrzaj, co należy właśnie ślachcicowi,
Czego im nie dostawa, niechaj każdy powie,
Poczcivie swego stanu na wszem używają,
A też w niebie na polu, na górach mieszkają.*

Cytowane i wymienione wyżej wyjęte ze „Zwierzyńca” konterfekty współczesnych Rejowi małopolskich rodzin szlacheckich, świadczą o ich uczestnictwie w życiu społecznym i politycznym ówczesnej Rzeczypospolitej. Mimo pewnej dozy zawartych w nich antypatii lub częściłej sympatii Reja do ich „bohaterów”, stanowią one krótkie i zwięzłe dokumenty ówczesnego życia społecznego na tych terenach, zawierają moralizujące opinie pisarza o nich.

* * *

Kiedy jesteśmy już przy temacie związków Mikołaja Reja z terenami obecnej Rzeszowszczyzny, pomijając zawarte w jego dziełach wzmianki o tych ziemiach oraz niezbadaną jeszcze popularność niektórych książek pisarza wśród miejscowej szlachty, zwłaszcza w sferze reformacji, nie można w tym miejscu nie wspomnieć o podtrzymywaniu w końcu XIX wieku dla „ojca literatury polskiej” kultury galicyjskiego hrabiego o analogicznym nazwisku, uważającym się za spadkobiercę sławy swego przodka. W niedalekim od Mielca Przelawiu hr Mieczysław Rey, daleki potomek „rymarza polskiego”, jedną z sal swego pałacu poświęcił Mikołajowi Rejowi. Zgromadził w niej liczne po piśmiznawczych w postaci wydań jego dzieł z podobną piśmiznawczą na eksponowanym miejscu, wszystko w kontekście pamiętek i świadectw po innych pisarzach epoki renesansu. Ogromna szkoda, że ostatnie wydarzenia zniszczyły owe pamiątki po Reju, rozproszyły, jak wiele innych, po świecie.



Rozpoczyna się Dekada Książki „Człowiek — Świat — Polityka”. Ma ona na celu spopularyzowanie dzieł W. I. Lenina, prac omawiających znaczenie przyjaźni polsko-radzieckiej przedstawiających społeczne i społeczno-gospodarcze z powrotem twórczego zastosowania leninizmu, prezentujących współczesne myśli przywódców partyjnych, ukazujących dorobek 75-lecia PRL, popularyzujących postawy socjalistycznego patriotyzmu i internacjonalizmu, demaskujących imperializm amerykański i jego zachodnio-niemieckich sojuszników, metody i formy antykomunistycznej dywersji ideologicznej i politycznej. Służy tym celem literatura zaangażowana.

Abraham M. Deborin: FILOZOFIA I POLITYKA. KiW, s. 684, cena 75 zł. Tłum. zespół (2 000 egz.).

Właściwe nazwisko autora brzmiał Joffe. Był członkiem partii bolszewickiej, mieniszewickiej, a od 1928 roku członkiem KPZR. Jego prace są poświęcone przede wszystkim historii filozofii i filozofii marksistowskiej. Omawiany wybór prac przedstawia chronologiczną działalność Deborina w różnych okresach. Powstawały one w okresie lat 1907—1934. Traktują o rewolucji, kulturze socjalistycznej, sporze z dialektykami a mechanicyzmi o spuściznie filozoficznej Lenina i innych sprawach. Stanowią ciekawy dokument z historii rozwoju filozofii marksistowskiej Rosji, a zwłaszcza w Związku Radzieckim.

Fryderyk Engels: POCZĄTKI WYWIADÓW, WŁASNOŚCI PRYWATNEJ I PAŃSTWA. W związku z

badaniami Levisa H. Morgana KiW, s. 342, cena 13 zł. (50 tys.)

Tematem książki jest entologia, czyli nauka o ludach pierwotnych. Mowa jest więc o rodzie Irokskim, greckim, państwie ateńskim, rzymskim, Celtów i Germanów, barbarzyństwie i cywilizacji.

Sylwester Zawadzki: PAŃSTWO I ISTOTA DEMOKRACJI SOCJALISTYCZNEJ. Wyd. II popr. i rozsz. KiW, s. 88, cena 4 zł. (88 tys.).

W bibliotece „Podstawy Wiedzy Społeczno-politycznej” pozycja omawiająca istotę państwa, powstanie PRL i jej zasady ustrojowe, funkcje państwa socjalistycznego oraz główne kierunki rozwoju demokracji socjalistycznej.

Zbigniew Wyczęsany: PRZEMYSŁ W GOSPODARSTWIE POLSKI LUDOWEJ. KiW, s. 52, cena 4 zł. (35 tys.).
W bibliotece „Problemy polityki gospodarczej” broszura poświęcona zagadnieniom rozwoju przemysłu, dynamice i strukturze produkcji, modernizacji i postępowi technicznemu, społecznym skutkom uprzemysłowienia oraz roli przemysłu w unowocześnieniu rolnictwa i wpływu na strukturę handlu zagranicznego.

Zygmunt Szeliga: MECHANIZM GOSPODARSTWA SOCJALISTYCZNEJ. Iskra, s. 136, cena 4 zł. (40 tys.).
„Wszechnicca Społeczno-polityczna” „Kto jest właścicielem podstawowych środków produkcji? Jaki jest mechanizm rozwoju gospodarczego? Jaki jest podstawowy cel

Ośrodek Badania Opinii Publicznej poszukuje współpracowników

Istniejący przy „Polskim Radiu i Telewizji” w Warszawie Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych prowadzi badania ankietowe.

Poznaje w ten sposób opinie i poglądy społeczeństwa w różnych zagadnieniach, takich jak rodzina, praca zawodowa, wychowanie młodzieży, potrzeby kulturalne itp., a także interesuje się oceną programu radiowego i telewizyjnego przez słuchaczy. Wyniki badań wykorzystywane są przez instytucje naukowe, a także organizacje społeczne.

Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych dysponuje serią honorowych współpracowników — ankietatorów społecznych. We wszystkich województwach prowadzą oni badania ankietowe na podstawie materiałów, jakie otrzymują z Warszawy.

Do obowiązków ich należy przeprowadzenie kilku wywiadów ankietowych miesięcznie z przedstawicielami różnych środowisk społecznych.

Sieć ankietatorów jest co prawda liczna (około 3000 współpracowników w całej Polsce), ale wymaga stałego uzupełniania. Dlatego Ośrodek wciąż przyjmuje nowe zgłoszenia. Ankietorem OBOPI i SP może być każdy kto:

- jest osobą pełnoletnią,
- interesuje się zagadnieniami społecznymi,
- umie nawiązać kontakt z przedstawicielami różnych środowisk społecznych,
- cieszy się szacunkiem i dobrą opinią.

Zainteresowani mogą zgłosić się listownie. Podajemy adres: Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych przy „Polskim Radiu i Telewizji”, Warszawa 1, skrytka pocztowa 46.

działalności gospodarczej? Jak dzieli się dochód narodowy? Odpowiedzi na te pytania zawarte są w niniejszej publikacji.”

Kazimierz Kąkol: PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELSKIE W PRL. KiW, s. 128, cena 7 zł. (25 tys.).

W „Bibliotece Wychowania Obywatelskiego” publikacja omawiająca prawa i obowiązki obywatela PRL, społeczno-ekonomiczne prawa obywatela, jego prawa społeczno-polityczne oraz wolności i swobody indywidualne jako przedmiot praw obywatela.

Aleksy Deruga: POLITYKA WSCHODNIA POLSKI WOBEC ZIEM LITWY, BIAŁORUSI I UKRAINY (1918—1919). KiW, s. 332, cena 40 zł. (2 tys.).

Polska Akademia Nauk — Zakład Historii Stosunków Polsko-Radzieckich w serii „Problemy 20-lecia” wydała monografię polityki wschodniej państwa polskiego na podłożu geograficznym i historycznym.

Tadeusz Grabowski, Wacław Stanekiewicz: INTEGRACJA W KAPITALIZMIE. Problemy ekonomiczne i militarne. MON, s. 412, cena 45 zł. (2310 egz.).

„Biblioteka Wiedzy Wojskowej”. Temat ma to do siebie, że szybko się deaktualizuje. Autorami są ekonomiści wojskowi, którzy mimo tego zastrzeżenia podjęli temat i ukazują go z punktu widzenia żołnierza. Dla specjalistów.

Zbigniew M. Klepański: ZACHODNIOEUROPEJSKIE ORGANIZACJE MIĘDZYNARODOWE. KiW, s. 440, cena 50 zł. (4 tys.).

Popularne ujęcie zagadnienia pozwala na szerzy krag czytelników. Książka dostarcza podstawowych informacji o najważniejszych organizacjach Europy zachodniej, ich rzeczywistej roli i perspektywach rozwoju.

LITERATURA W SŁUŻBIE OJCZYZNY. Materiały z sesji zorganizowanej przez Związek Literatów Polskich i Główny Zarząd Polityczny WP z okazji 25-lecia Odrodzonego Wojska Polskiego, poświęconej tematyce patriotyczno-obywatelskiej w naszej literaturze. MON, s. 238, cena 15 zł. (5 tys.).

Piszą m. in. Żukrowski, Jakubowski, Zieliński, Terlecki, Sroga, Bystrzycki, Urbanowicz i inni.

Kartki dla Ewy

KAROLEK

Pan Karol jest dobrym szefem. Dba o interesy firmy i wszystkich pracowników. Jak nikt, rozumie trudności załogi, idzie więc jej na rękę we wszystkich okolicznościach. Rozdziela urlopy i premie, pyta o chorą żonę i niegrzeczne dzieci, o kłopoty z teściową, tudzież o inne codzienne perypetie. Do swego biura wprowadził serdeczną, przyjacielską atmosferę. Złoto nie szef. Trzeba kochać takiego szefa i słuchać uważnie kiedy mówi:

— Panie Kowalski, słyszałem, że pańska matka ma w sadzie wspaniałe renety. Może by pan ją odwiedził, a przy okazji przywiózł mi ze trzy metry tych jabłek. Później się rozliczymy, proszę mi przypomnieć.

Pan Kowalski nie przypomina, słusznie bowiem sądzi, że szef winien sam o tym pamiętać. Jakże komuś na stanowisku zawracać głowę jabłkami. Wstyd doprawdy! Niechże więc te owoce będą na przyszłą dobrą współpracę i dalsze dobre stosunki.

Szef rozumie pracowników, pracownicy powinni rozumieć szefa. Nie tylko w sprawach służbowych. W biurze przecież nie samą pracą człowiek żyje. Jest jeszcze wiele innych obowiązków, których zaniedbanie może wywołać niesnaski i kwasy. Któż to lubi? Dlatego więc biurowy kodeks towarzyski dokładnie rozróżnia wszystkie niuanse i bada tym, którzy go nie chcą przestrzegać.

Przed wszystkim należy pamiętać, że poniedziałek to dzień wypoczynku po trudnej niedzieli. Szef przeżuwa wpadki brydżowe i wywali każdego, kto przekroczy próg gabinetu. Lepiej przeczekać, schować się w ciemnym kącie aż chmury zejść z horyzontu.

We wtorek i wśród każde biuro nabiera rozpędu. Dniem interesów jest czwartek, w piątek bowiem trzeba myśleć o niedzielnej obiedzie, a w sobotę odpocząć przed świętem. Tak więc w czwartek wszyscy bardzo wydajnie pracują, a w nielicznych wolnych chwilach interpretują słowa szefa. Szef przyjechał do biura i powiedział wesoło:

— Ludzie kochani, będzie premia! Załatwiłem na konferencji w centrall. Dostaną wyróżniający się w pracy. Panno Zosiu, niech pani przygotuje listę najlepszych pracowników. A propos... czy pani widziała ten kryształowy talerz w sklepie naprzeciwko? Cudo nie talerz...

Panna Zosia przygotowuje listę najlepszych pracowników. Przy każdym nazwisku stawia fajeczkę. Szef podpisuje listę. Lista idzie do księgowego. Księgowy wystawia czek. Kasjer biegnie do banku. Ludzie dostają premię. Kryształowy talerz znika z wystawy. Po prostu zbieg okoliczności. Zawsze jakieś okoliczności łączą się ze sobą, ale pana Karola nie można posądzać o brzydkie powiązania. On jest bez zmyły. On jest przejrzysty jak szkło! Troszczy się przecież o biuro i ludzi w nim pracujących. Dba o ich kieszeń, dobre samopoczucie i rozrywki kulturalne.

Pan Karol urządza nawet imieniny. Bardzo pieczołowicie. Składa życzenia zdrowia, szczęścia, pomyślności i wygranej w totka. Mawia do załogi: „...dzieci, gdyby nie ja”. Wręcza prezenty: paczkę spinaczy, gumkę z myszką, ołówek — wszystko z prywatnych biurowych zapasów. Raz w roku, w dniu Karola zezwala nawet na bibkę. Na małą, towarzyską bibkę z kropelką wina na dnie kryształowych kieliszków. Nie więcej tylko kropelka, żeby przypadkiem nie było zgorzenia, pijaństwa i innych ekcesów. Przecież tu biuro, poważna instytucja i on na czele. Odpowiedzialny pan Karol. Trzeba dbać o opinię, o morale pracowników, o firmę. Także o własne zadowolenie. Ono jest w życiu najważniejsze. Bardziej istotne od oficjalnych wyróżnień finansowych. Banknoty zawsze są dwuznaczne. Robią złą krew. Powodują zbędne dociekania, ile też szeleszczących papierków było w kopercie. I za co w gruncie rzeczy przyznano je panu Karolowi. Ludzie chętniej liczą cudze dochody niż własne, trzeba więc być ostrożnym, umieć się urządzić.

Pan Karol zna swoje możliwości. Doskonale wie, co należy się ludziom, a co należy się jemu. Inaczej nie byłby szefem.

BEGA



WOJCIECH OKROJEK — kierownik zespołu instrumentalno-wokalnego „Galgany” przy PDK w Lubaczowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Film Film Film

FILM O ŻYCIU HO CHI-MINHA

Czołowy reżyser kubański, Santiago Alvarez realizuje obecnie film dokumentalny o życiu zmarłego niedawno prezydenta DRW, Ho Chi-Minha. Tytuł filmu „79 wiosen” oddaje już w pewnym stopniu sposób ujęcia tematu, dotyczącego postaci bohaterskiego przywódcy Wietnamczyków. Santiago Alvarez zebrał wiele interesującego materiału do swego filmu w czasie podróży do DRW w okresie pogrzebu Ho Chi-Minha. Film ten będzie jednak oparty również na materiale zgromadzonym przez niego w czasie poprzedniej wizyty w Wietnamie Demokratycznym, przed dwoma laty.

LENINIANA NA WYSTAWIE W OSACE

Wiosną przyszłego roku otwarta zostanie w Osace wystawa światowa. Zwiedzający pawilon radziecki będą mieli możliwość obejrzenia na ekranie najciekawszych filmów dokumentalnych, poświęconych wodzowi Rewolucji Październikowej i budownicemu pierwszego państwa socjalistycznego. Filmy będą wyświetlane non-stop.

ZŁOTA SERIA RADZIECKIEGO FILMU

W Muzeum Sztuki Współczesnej w Nowym Jorku już ponad miesiąc trwa festiwal filmowy, który wzbudza żywe zainteresowanie środowiska intelektualnego i artystycznego oraz studenckiego największego miasta USA. W programie przeglądu znalazło się 49 najwybitniejszych dzieł kinematografii rosyjskiej i radzieckiej, zrealizowanych w okresie 60 lat, od 1907 do 1967 r. Zestaw obejmuje m. in. „Pancernika Potiomkina” i „Iwana Groźnego” Eisensteina, „Ziemię” i „Arsenal” Dowdenki, „Burzę nad Azją” Pudowkina, „Upadek dynastii Romanowych” Szub, „Donbas” Dżigi Wiertowa i in.

35 TYS. FILMÓW

W ciągu 20 lat swego istnienia Wszechnizwiazkowe Archiwum Filmowe w Moskwie skompletowało największą na świecie kolekcję filmów obejmującą 35 tys. tytułów.

Poważna część zbioru — to filmy zaliczane do klasyki światowej.

„ŻOŁNIERZE POKOJU”

Wybitnym, postaciom współczesnego świata — laureatom międzynarodowej leninowskiej nagrody „O umocnienie pokoju między narodami” poświęcony jest nowy radziecki film dokumentalny „Żołnierze pokoju” reż. A. Zeniakina. W filmie, który przedstawia narodziny i rozwój ruchu obrońców pokoju, autorzy prezentują sylwetki prof. Joliot-Curie, Siqueirose, Paula Robesona, Anny Seghers, Pabla Nerudy i in.

BALLADA O BERINGU

Wytwórnia imienia Gorkiego realizuje film o słynnym żeglarzu Witusie Beringu. Scenariusz wyszedł spod pióra Wiktora Szklowskiego i Josifa Osipowa. Film rozpoczyna się w chwili, gdy na polecenie Piotra Wielkiego Bering przygotowuje się do swej pierwszej ekspedycji, a kończy w 1742 r. Beringa gra aktor lotewski Karl Sebris. Zdjęcia wykonywane są na Dalekim Wschodzie i na jeziorze Ladoga.

FILM O EISENSTEINIE

Radziecki reżyser Grzegorz Aleksandrow i angielski — Norman Swallow pracują nad dwuseryjnym, poświęconym filmem telewizyjnym, poświęconym Sergiuszowi Eisensteinowi. Zdjęcia wykonywane są w Odesie, Leningradzie, Rydze i Moskwie. Wspomnieniami o wielkim twórcy podziela się Michał Romm, Sergiusz Julkiewicz, Wiktor Szklowski, Głorijs Vczincew, King Vidor, Rene Clair Joria Ivone i inni.

„LA PENDAISON” NAGISA OSHIMA

Z ogromnym uznaniem pisze Jean de Baroncelli o filmie japońskim nowej fali „La Pendaison” Nagisa Oshima. Twórca filmu ma 37 lat i po zrealizowaniu swych pierwszych kilku filmów dla jednej z 5 wielkich wytwórni japońskich — zbuntował się przeciwko tradycyjnej sztuce japońskiej i nie zważając na ogromne początkowo trudności materialne — sam przystąpił do produkcji swych filmów. Z ogromną odwagą potępił w nich wygaszane swe oryginalne i humanitarne poglądy, których wyrazem jest właśnie film „La Pendaison”.

Film ten jest protestem przeciwko karze śmierci; powstał w 1963 r., a więc przed głośnym obecnie filmem, prezentowanym ostatnio na Festiwalu w Wenecji „La petit Garçon”. Treścią filmu „La Pendaison” jest historia Koreańczyka, skazanego na śmierć za gwałt i mord popełniony na dwóch dziewczętach japońskich. Egzekucje wykonano, ale skazaniec po pewnym czasie ożył, okazało się natomiast że... utracił całkowicie pamięć. Ponieważ prawo japońskie wymaga, aby skazaniec w chwili wykonania wyroku był w stanie całkowitej świadomości — cały personel więzienia wszelkimi metodami stara mu się przypomnieć, jakie zbrodnie popełnił. I tu Oshima ukazał z całą przerażającą wyrazistością, łącząc realizm z fantazją, a nawet burleską, całe okrucieństwo, typowo japońskie, które przeraża widza. W końcowych sekwencjach filmu znajdują się elementy politycznego pamfletu, wymierzonego w imperializm japoński oraz przeciwko prześladowaniu Koreańczyków.

(KI-PAP)

ZDARZENIA TYGODNIA

● Dni Książki „Człowiek — Świat — Polityka” mają w województwie bardzo uroczysty przebieg. Podobnie jak w Rzeszowie, tak i w innych miejscowościach zaplanowano z tej okazji różne imprezy, z których wiele już odbyło się. M. in. w Klubie „Kosmos” w Dębicy na inaugurację Dni przybył znany literat Jerzy Putrament, który w czasie spotkania z czytelnikami mówił o swoich książkach i zamierzeniach pisarskich. Z prelekcją na podobny temat wystąpił on również w filii Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. Czackiego w Rzeszowie oraz w Sanoku, Ochoczych i Rzepedzi. Natomiast Tadeusz Walichnowski, autor książek: „Zachodniemiecki revisionizm”, „Doktryna syjonizmu”, „Izrael a NRF” oraz innych, odbył kilka spotkań w powiecie jarosławskim.

Wiele imprez z okazji Dni organizuje się na wsi. Np. w klubach rolnika, prowadzonych przez gminne spółdzielnie, odbędą się od 20 do 30 listopada prawie 150 spotkań z działaczami politycznymi, ponad 200 odczytów poświęconych książce społeczno-politycznej i zorganizowanych zostanie około 150 wystaw książkowych. Ponadto zaplanowano projekcje filmowe oraz konkursy na temat znajomości książek politycznych i społecznych.

● W Klubie MPiK w Rzeszowie większość organizowanych w ubiegłym tygodniu imprez przebiegła pod znakiem Dni Książki „Człowiek — Świat — Polityka”. M. in. redaktor „Życia Warszawy” — Karol Szundzielorz, spotkał się 21 XI z czytelnikami, których zapoznał z aktualną sytuacją w Czechosłowacji. Po prelekcji wywiązała się ożywiona dyskusja.

● Większość kół ZMW w naszym województwie zorganizowała już uroczyste zebrania otwierające szkolenia polityczno-oświatowe. Inauguracyjny wykład miał temat: „Idea Lenina we współczesnym świecie”.

● Radośnie obchodzono Dzień Nauczyciela w Szkole Podstawowej im. Juliana Gosłara w Kulnie, powiat leżajski. Licznie przybyłych gości oraz grono nauczycielskie powitał kierownik szkoły Jan Sagan, który przypomniał, że dzięki ofiarności czytelników „Nowin Rzeszowskich” młodzież małej wioski ma dobre warunki do nauki. Podobnie i nauczyciele z powodzeniem realizują w nowym budynku zadania programowe i wychowawcze.

● W salach klubowych MPiK w Rzeszowie czynna jest Ogólnopolska wystawa malarstwa i grafiki studentów SN. Wśród 30 eksponowanych obrazów znajdują się również prace rzeszowskich studentów: Jana Wozowicza, Zbigniewa Grzysia i Stefana Sławińskiego.

● W powiecie łańcuckim rozpoczęły się zajęcia na uniwersytetach powszechnych. Lektorzy TWP prowadzą wykłady w 15 placówkach tego typu, a m. in. w Handzlówce, Albigowej, Markowej i Koroniakowie. Nowe uniwersytety powstały w Kosinie i Dębnie.

● W Krakowie 20 XI rozpoczął się II Ogólnopolski Przegląd Robotniczych i Studenckich Zespołów Artystycznych pod nazwą „Konfrontacje 69”. Nasze województwo reprezentują: Zespół Pieśni i Tańca „Lasowiaczy” ze Stalowej Woli oraz Zespół Pieśni i Tańca Rafinerii Nafty z Jasia.



Wieżowce na Skarpie.

Fot. M. KOPEC